

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 17. Warszawa, dnia 15 (27) Kwietnia 1876 roku. Rok 12.

CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu		na prow. w Cesar. i Królest.	
rocznie	rs. 6 k. „	rocznie	rs. 8 k. —
półrocznie	„ 3 „ „	półrocznie	rs. 4 k. —
kwartalnie	„ 1 „ 50	kwartalnie	rs. 2 k. —
miesięcznie	„ 50	w Krakowie rocznie z stemplem dzienn. Złr. 10. w Galicyi Złr. 11 cent. 50. w Prusach roczn. 24 marek.	

OPIEKUN DOMOWY wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYA, SKŁAD GŁÓWNY I EKSPEDYCYA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 72 NOWY.

Skład Główny w *Poznaniu* w księgarni Leitgebera i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni Gebethnera i Spółki, *w Wilnie* u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

NOC DUSZY.

(FRAGMENT).

Świat piękny, świat wesoły, świat marzenie myśli,
Tak w niewinnej prostocie rozważa wiek młody,
Wiek wesoły, wiek szczęścia. I w swej wyobraźni
Czarujące obrazy na tle świata kreśli.
Myśl jego w swym polocie nie szczędząc urody
Dla nieba, dla obłoków, dla ptaszków, wietrzyka,
Drzew, liści i zieleni — dla słońca promyka
Wszystko to aureolą otacza przyjaźni.
A upojony dziwną harmonią natury,
Myśl swą wzbija ku niebu, w ponętne lazury,
I tam zaczyna marzyć — w błękitu przestworze,
Całą piersią wołając: wiekuisty Boże!
Jakiś wielki, jak wzniosły, potężny i święty,
Czemże jestem ja, człowiek, Panie niepojęty;
Czemże zasłużyć mogłem na dobrodziejstw tyle,
Za co mię tak upajasz, słodzisz życia chwile?
Jestem, widzę, dla Ciebie najmilszem stworzeniem,
Tyś mą duszę owionął swojem bożem tchnieniem.
Stworzyłeś tu kobietę, w nią bóstwa połowę
Wlałeś, serce, duszę, dałeś uśmiech tkliwy,
Utoczyłeś jej kibić, upiększyłeś głowę;
O tyś wielki pan świata, tyś Bóg dobrotliwy!
Tak upojony woła — a w myśli zawrocie
Półsenne przed oczyma zestawia widziadła,
Tysiące ideałów w swej duszy polocie
Roi, aż w końcu i sen znika i złudne dziwadła.
A później cóż? Tęsknota za światem ułudy,
Za światem wymarzonym, lekkim, nieujętym.
O.... tęsknota to cięższa niż bój, wojen trudy,
Piekło Danta, a nawet szatan w ciele świętem!
Więc cóż mi to za życie, co za urok świata,
Gdy ten koronę z cierni w głowę człeka wplata?
Tak mówił, siedząc w cieniu, młodzian pod lipami,
Tak myślał i szyderczo skrzywił piękne usta.
Wietrzyk igrał wesoło ciemnemi splotami
Włosów młodego pana — jak kiedy myśl pusta,
Naśmiewa się z niedoli i nieszczęść człowieka.
O tęsknoto, tęsknoto — ty dziecię nieszczęścia,
Ty dziecię chwil wesołych, lecz minionych życia,
Ty matko zguby ludzi, przed tobą zdaleka
Znika wesołość, uśmiech. Ja prawie z powicia
Schwytany już zostałem w twe nieme ujęcia.
Dziś nic więcej nie widzę jak mglistą zasłonę,
Kryjącą po za sobą złudną życia stronę.

. . . .

Widziałem ją już dawno, raz tylko me oko
Zdołało schwycić obraz, — obraz ten głęboko
Tkwi w duszy, w sercu, w oku—ona w myśli moje,
Wpoiła swoję postać — raz tylko widziałem,
Więcej już potem nigdy—kruczych włosów zwoje,
Postać anioła ziemi — słowem cała ona,
Stoi dziś przed oczyma. Dusza ma olśniona
Tym widokiem od chwili gdy ten cud ujrzałem,
Dziś chodzę, błądzę, szukam i nigdzie me oczy,
Nie mogą jej uchwycić — ten ból co mnie tłoczy,
To jest jad co pożera.... tu źródło boleści,
Tu tęsknota, tu grób mój, tu wszystko się mieści.
Stąd tęskne sny mordują, trapią moję duszę!
Czyż żyć na takim świecie, nie są to katusze?
O stokroć lepiej w piekle! Niechaj mnichy prawią
O wiekuistem niebie, niech sobie wybawią
Tysiące dusz, ciężkiemi grzechami zwalonych,
W ciemną krainę czyśca. Ja w to nie dam wiary!
Tu jest piekło, tu czyściec, bo boleścią człowiek
Czyści ducha swojego do zawarcia powiek,
Jak złoto ogniem czyszczą. Tu niebieskie dary,
Wtedy gdy spotka gwiazdę, która koniec końcem,
Świecić będzie dla niego, lecz miłości słońcem...
Pytaj tych świętych mnichów, oni w uzbrojonych
Nieomylnością głowach, uroili dziwne
Przestraszające piekło! Czyż to nie naiwne?
Czyż człowiek tu nie cierpi? Głupstwo, piekła nie ma!
Bo ja w sobie mam piekło, — tu patrzę oczyma
Duszy na me męczarnie, tu się niemi poję —
Tu są właśnie, tu we mnie te piekielne zdroje!

. . . .

O chciałbym teraz zasnąć, przespać całe wieki,
Do czasu aż, jak mówią, ten bardzo daleki
Koniec świata nastąpi — jeśli to być może, —
To z całą gotowością ja się w grób położę,
I zaczekam na chwilę, w której ją, tę postać
Będę mógł okiem ująć i w objęcia dostać.
O wtedy jej nie puszczę!

Tak mówił młodzieniec,
Aż księżyc spojrzał w ziemię i szyderczy wieniec,
Z bladych promieni światła rzucił mu na głowę,
Oświecając w profilu tej twarzy połowę,
Na której znać cierpienie życiowych powiewów.
Młodzieniec powstał zwolna i znikł w cieniu krzewów...
Gdzie poszedł? Trudno wiedzieć. Kim był nieszczęśliwy,
Poetą czy waryatem?.. dla czego tak wcześnie
Struł duszę ząb tęsknoty, drasnąwszy boleśnie?...
Miał, widać, zbytek serca—był nadto wrażliwy.

ŚLADY ŻYCIA.

Tyle życia ile... w czynie.

XVII.

— Co się dzieje, co się dzieje, to strach bierze pomyśleć szanowny radco, czy świat się kończy, czy co u stu diabłów — mówił ocierając pot z czoła przechodzący ulicą jegomość.

— A cóż to się stało, kochany naczelniku dobrodzieju?

— Nieszczęście, powiadam radcy, nieszczęście...

— Cóż za nieszczęście?

— Okropne panie, okropne.

— Czy przypadkiem naczelnik nie spadł z etatu?

— E nie, jeszcze gorzej...

— Czy żona nie chora?

— Jeszcze gorzej radco.

— A może dzieci?

— Ale gdzietam — zdrowe jak żbiki.

— Więc mówże naczelnik, co takiego?

— Oto będę od kwartału bez pomieszkania. Z tamtego się wyprowadzam, bo mi kanalia gospodarz co kwartał podwyższa, tak, że już wytrzymać nie mogłem. Wyobraź sobie radca, przez półtora roku z 300 na 500 rs. no to nie do wytrzymania, to panie zbrodnia! Szkoda tylko, że nie ma na nią paragrafu w kodeksie, bo bym zaraz szelmę pociągnął do odpowiedzialności...

— No, więc naczelnik szukasz pomieszkania.

— Toćbym chciał szukać, tylko nie wiem gdzie — czy w Pacanowie, czy gdzie indziej, bo tu nie ma pomieszkań.

— A czy mało naczelnik masz pomieszkań w Warszawie? Niech no naczelnik patrzy, co tu wisi kart...

— Ba — toć ja widzę karty—ale pomieszkań dla uczciwych ludzi, którzy pracują, nie widzę. Bo to proszę radcy spojrzeć: tu jest cztery pokoje z kuchenką, która swędzi, jak wszyscy diabli, do tego bez przedpokoju, więc wchodzisz radca od razu do salonu w kaloszach i proszę jaka cena — oto 700 rubli, wyraźnie siedmset. No proszę mi powiedzieć, czy to nie zbrodnia? Albo te drugie trzy pokoje i kuchnia — wszystko obdrapane—380 rs. i to nazywa się już tanio. Masz radca wszędzie ten stosunek.

— To prawda, co to będzie robić? Chyba trzeba się będzie wynosić z Warszawy do Kutna, albo do Łowicza lub gdzie indziej na prowincyę.

— Ale diabła tam — myślisz radca, że i tam się nie zmądrzyli? Powiadam radcy, że wszyscy u nas właściciele domów, są jednakowi. To jest panie kasta zupełnie odrębna od innych ludzi. Oni sobie utworzyli monopol i dobrze im z tem.

— Więc jakaż na to rada, naczelniku kochany — bo tak dłużej chyba zostać nie może... Urzędnik, który ma 600 rs. rocznej pensyi, nie może przecież płacić 400 lub 500 za lokal, ani 300 nawet, bo coby jadł wraz z żoną, dziećmi i służbą.

— Święta prawda kochany radco, ale co począć? Lichwa naprzykład niedozwolona, ale lichwiarskie komorne płacić trzeba. Co tu począć kochany naczelniku.

— Co począć? Powiadam radcy, że innej rady nie ma, tylko czekać trzeba, aż się rząd w to wszystko wmiesza... Kiedy właściciele domów tak sobie brykają, że końca nie ma i że co kwartał jedna i ta sama piosnka, to tylko rząd może założyć na nich wędzidło...

— A to jakie dobrodzieju?...

— Po prostu nałożyć na mieszkania taksę, jak na mięso, wyznaczywszy komissyę do ustanowienia tej taksy, złożoną z budowniczych i obywateli uczciwych — a wtedy panie będzie co innego i obywatele nasi miejscy Tadeusza śpiewać będą.

— Święta prawda naczelniku kochany, jeśli mamy wędzidło na lichwę pożyczkową — to dla czegóżbyśmy nie mieli mieć wędzidła na lichwę komornianą.

* * *

Mówiąc o lokalach, musimy też zamieścić ciekawą w swoim rodzaju illustracyę do arogancyi niektórych właścicieli domów, graniczącej już chyba ze... szpitalem Jana Bożego. Rzecz się tak miała.

Pewien człowiek, — rzetelny pracownik w arenie życia naszego, obejrzawszy pomieszkanie, udaje się do właściciela domu celem zawarcia z tymże kontraktu o najem lokalu. Właściciel domu omówiwszy z nim warunki najmu i ugodziwszy się o cenę lokalu, oświadcza, że przed podpisaniem kontraktu potrzebuje niektórych informacyj, jakie być mają kardynalnemi pryncypiami możności lub niemożności najmu wzmiankowanego lokalu.

— O jakież to informacye idzie panu, zapytuje zagadnięty kandydat na lokatora.

— Proszę pana, odpowiada właściciel domu, byłeś pan łaskaw objaśnić mię, jak tego sobie życzyłem, że zajmujesz takie a takie stanowisko w społeczeństwie — raczże mi pan teraz powiedzieć, jakim mianowicie pracom zawdzięczasz pan toż stanowisko?

— A cóż to pana obchodzić może? — Sądzę że bylebym tylko opłacał panu regularnie komorne i nie niszczył lokalu, to wszystko inne obojętnem panu być winno. Zresztą nie obcą panu jest zapewne procedura sądowa, która daje panu możność wyrzucenia mnie wraz z ruchomościami i sprzedania takowych przez komornika w razie zaległości w opłacie raty kwartalnej komornego. Ruchomości więc moje przedstawiają panu dostateczną gwarancyę materyalną, bo przenoszą wartością swoją kilkoletni, jeśli nie większy szacunek komornego.

— To dla mnie nie dosyć, odpowiada właściciel domu, ja chcę wiedzieć, jakim mianowicie pracom zawdzięczasz pan stanowisko, które zajmujesz.

—Ależ panie, tłómaczy się skromny kandydat na lokatora, każdej chwili mógłbym zaspokoić ciekawość pańską, gdybyśmy żyli na stopie przyjaźni lub stosunku towarzyskiego, lecz jako obcemu, zapytującemu mnie w formie śledztwa, prowadzonego przez właściciela domu, to wierzaj mi pan, że uwłaczałbym sobie odpowiadając mu na podobne zapytania. Boć przecież nie przychodzę prosić pana o nic.

— To mi wszystko jedno mój panie — inaczej nie najmiesz pan u mnie lokalu.

— A to nie najmę, pójdę gdzie indziej...

— Wolna droga panie dobrodzieju.

— Teraz, gdybyś pan nawet chciał, to już nie najmę tego lokalu. Lecz nie ubliżę już sobie gdy powiem panu, że stanowisko swoje zawdzięczam działalności swojej takiej i takiej (tu wyszczególnił wszystkie prace swoje).

— A panie dobrodzieju, zatrzymuje odchodzącego właściciel domu, racz pan podpisać kontrakt.

— Nie panie, nic z tego nie będzie.

— A to dla czego?

— Bo pan jako właściciel domu niepodobałeś mi się.

— Ależ panie.

— Powinniśmy mieć równe szanse panie dobrodzieju, kończy odchodząc kandydat na lokatora.

Uwaga felietonisty. Jaką ci miarką mierzą, taką im odmierzaj.

* * *

Możemy rekomendować czytelnikom naszym, którym stanowisko żydów w Polsce i stosunek ich do nas nie są obce — książkę, napisaną przez p. Władysława Smoleńskiego p. t. „Stan i sprawa żydów polskich w XVIII wieku,“ wydaną nakładem księgarni Celsa Lewickiego i S-ki. Praca ta, bardzo sumiennie traktowana przez autora, przedstawia stan ówczesny żydów, ich stosunek do rządu i kraju, oraz usposobienie tych ostatnich dla żydów, jak niemniej wpływ żydów na rozwój ekonomiczny kraju. Nakoniec przedstawia pewne projekty assymilacyi żydów, w łonie społeczności naszej. — Wyczerpująco do pewnego stopnia przeprowadzona ta praca, popartą jest rozlicznemi źródłami i bardzo trafnemi wnioskami autora.

* * *

Pan Wincenty Kruziński zamierza wydawać pismo p. t. *Echa muzyczne*, na co podobno, otrzymał już upoważnienie od władzy właściwej. Zawierać ono ma utwory nietylko naszych, ale i obcych kompozytorów, a więc nie będzie traktowane tylko miejscowo, lecz ogólnie. Bardzo chętnie przyklaskujemy projektowi p. Kruzińskiego, życząc mu z całego serca pomyślnej pracy na tej drodze, tak dla ogółu jak i dla niego samego. Wydawnictwo bowiem ma być podobno tanie, a p. Kruzińskiemu ani na chęciach, ani na zdolnościach, ani nakoniec na pracy — nie zbywa.

* * *

Dowiadujemy się, o bardzo szlachetnym projekcie władzy szkolnej, mającym na celu polepszenie losu niezamożnej a potrzebującej młodzieży gimnazyalnej. Obejmuje on mianowicie, założenie *Kassy wsparcia* dla tejże młodzieży. Zbytecznem byłoby dodawać, że jeśli mamy stypendya i koncerty na rzecz niezamożnych studentów uniwersytetu, to bardziej spieszyć należałoby z pomocą młodzieży gimnazyalnej. Pierwsi bowiem, jako ludzie prawie już dojrzali, a co najmniej bliscy dojrzałości, prędzej dać sobie mogą radę i pomoc, aniżeli ci, którzy nie wstąpili jeszcze na tę drogę; którzy, rzec można, są jeszcze dziećmi, a tem samem nie mogą posiadać warunków, to jest sił i umiejętności do pokonywania codziennych trudności bytu i zaspakajania koniecznych potrzeb. Myśl więc powyższa obok całej szlachetności, jest bardzo trafną i na czasie.

* * *

Ostrzegamy czytelników naszych, że w skutek nowej organizacyi sądowej, mającej być wkrótce w czyn wprowadzoną, wszelkie umowy zawarte ustnie a bez świadków, tracą moc obowiązującą. Dla tego też, radzimy, póki czas, wszelkie podobne umowy zamieniać na piśmienne, ażeby później nie sprawdziło się przysłowie: „Mądry Polak po szkodzie.“

* * *

Prelekcye na dochód osad rolnych, odbyte u nas w sali ratuszowej, przyniosły bardzo ładną sumkę, bo wynosząca po potrąceniu wszelkich wydatków, czystego grosiwa 2,560

rs. 15½ kop. Trzeba przyznać, że instytucya osad rolnych cieszy się, jak na to zresztą zasługuje, ogromną sympatyą publiczności naszej.

* * *

Kwestya emancypacyi kobiet, a właściwiej mówiąc, kwestya niezależności materyalnej, czyli bytu kobiet, tak silnie i tak głośno od lat dziesiątka, przez wiele piór na papierze agitowana u nas, kroczy sobie wprawdzie powolnie, skromnie ale prawdziwie i gruntownie, bo.... w czynie. Mamy zakład rękodzielniczy dla kobiet, mamy spółkę połączonej pracy kobiet, mamy szkołę rzemiosł, buchalteryi etc. dla kobiet, mamy Pszczoły płockie, warsztaty szewckie kobiece i t. d. Obecnie z przyjemnością przychodzi nam zanotować fakt nowy na tej drodze pracy niewieściej. Oto pani Majeranowska zakłada w Płocku spółkę połączonej pracy kobiet, mającą na celu produkcyę wyrobów kobiecych i zbyt takowych. Zyski osiągane, dzielone być mają między pracownice, przyczyniające się do osiągania tych zysków. Bardzo sprawiedliwie — nie można bowiem brać, nie dając.

* * *

Kiedy słyszę lub mówię o pracy kobiet, zawsze mi na myśl przychodzą te biedne wyrobnice igły, te biedne szwaczki, które są prawdziwemi *białemi murzynkami*. Mówmy bezstronnie. Za 40 groszy na dzień bez życia całe 12 godzin schylone nad igłą ślepiają i kłują sobie palce. Jedzą zaś byle co, bo nie mają; jakąś tam szklankę herbaty, bułkę i serdelek, to ich całodzienne pożywienie z tych 40 groszy, rozumie się. Ale za to właściciele i właścicielki magazynów, ho, ho, ho... to... państwo, jak mówią, *całą gębą*. Tych czekają powozy, konie, apartamenta i zbytki. Tamte zaś na starość, gdy stracą oczy i siły, zdaje się, że nie przesadzę; jeśli powiem, że czeka kij żebraczy lub koszyczek i haczyk do śmieci. Otóż w obec takich okoliczności i takiej perspektywy, znajduje się wielka liczba szwaczek, która ażeby nie umrzeć głodną śmiercią, ażeby mieć na nodze bucik i nie mieć na myśli haczyka, radzi sobie w inny sposób, a do czego niezmiernie u nas okoliczności sprzyjają, z powodu zbytniej (sic) moralności naszych braci, synów, a nawet mężów i ojców. Otóż damy nasze, głównie te które ani jednej sekundy w życiu głodnemi nie były, chybaby podczas zaleconej przez lekarza dyety, które jeszcze nigdy złamanego grosza pracą własną nie zarobiły, powtarzamy panie te przy akompaniamencie całej czeredy próżniaków plują na tego rodzaju dziewczyny, nazywając je rozpustnicami, którym nawet piekło odmówić mieszkania powinno. Mówiąc nawiasem, a nieobrażając nikogo, wiele z tych dam, jeśli są moralne, to dla tego, że albo nikt ich nie śledzi, albo że... nie mogą być nie moralnemi. Dalej mówiąc seryo, nie protegujemy ani nie pochwalamy upadku biednych pracownic igły, ale chcąc być logicznemi musimy wniknąć w powody upadku, które dotknęliśmy powyżej. W obec czego wina ich się zmniejszy, a sąd powinien być łagodniejszym.

Reasumując to wszystko, dochodzimy do wniosku, że chcąc zaradzić złemu, to jest uchronić jedne od głodu, drugie od hańby, należałoby nam o ile możności dążyć do poprawienia bytu czyli do dania powszedniego chleba biednym pracownicom igły. Jakby to zrobić? Panie *marszandki* czyli właścicielki magazynów mód, i jak same nazywają *konfekcyi*, podwyższyć ceny pracy nie chcą i nie podwyższą, bo nikt ich do tego nie zmusi. Więc cóż? Oto trzeba dążyć, o ile możności, do jak najliczniejszego tworzenia spółek kobiecych, mających na celu dojście do jakiego takiego samoistniejszego bytu drogą połączonej pracy kobiecej. Do tego jednak potrzebnym jest udział w pomocy czy to czynnej, czy nieco grosiwem tych wszystkich, którym nie obcą jest sprawa bliźnich, nie mających prawie żadnej przystani w życiu, a dla których jedyną przystanią może być tylko miłość chrześciańska, wsparta przebaczeniem, ufundowanem przez Boga-człowieka. Bo jeśli podawać rękę upadającej, to tylko z wyrazem przebaczenia a nie pogardy.

POCAŁUNEK.

obrazek dramatyczny w 1-ym akcie

oryginalnie napisany.

OSOBY:

Pani Ciszewska
KLARA lat 18 } jej dzieci.
ARTUR lat 25 }
WIKTOR Pleciński 26 lat.
JERZY Dzierzbicki 25 lat.
ANTONI lokaj.

Rzecz dzieje się w Warszawie w domu pani Ciszewskiej.

Scena przedstawia pokój gustownie umeblowany, po prawej stronie kominek, na którym płonie ogień, nieco dalej drzwi prowadzące do salonów, z których dochodzą dźwięki muzyki; po lewej stronie okno; biurko, na którem pomiędzy innemi stoją papierosy i cygara, dalej kanapka, kilka fotelików, w głębi drzwi prowadzące do przedpokoju. Światło świec. Bal. Mężczyźni we frakach, kobiety balowo ubrane.

SCENA I.

KLARA (siedzi przy kominku, wpatrując się w płomień).

Nieprzybywa, czyby miał nieprzyjść? O nie, tego nie zrobi, ja go dziś ujrzę. Tam się bawią ochoczo, rozkoszny kotylion wiruje wesoło, a mnie to drażni. Nie mogę się bawić, nie mogę być wesołą, bo jego tu nie ma (zegar bije 12 godzinę)... Bije północ... (powstaje idzie do okna) i służący nie wraca, a już pół godziny jak Artur go posłał. Czy nie zachorował Jerzy?... Boże mój! tak mnie nie zasmucisz.... on przyjdzie, ja go dziś zobaczę! Niebo prześliczne, gwiazdami zasiane i moja gwiazdeczka tam błyszczy — to gwiazdeczka do której Jerzy wierszyk mi napisał. A prześliczna prośba do gwiazdki znalazła echo w mej duszy:

O gwiazdko jaśniejąca,
Co tam błyszcząc patrzysz mile,
Zstąp tu do mnie choć na chwilę,
Boś wesoła i śmiejąca.
A jam dzisiaj jakaś rzewna,
Nuta mego serca drżąca,
Pół płacząca, pół śmiejąca,
Ale słodka, dźwięczna, śpiewna...
Więc zejdź do mnie gwiazdko mała,
Uderz w struny serca mego,
Dobądź tonu wesołego,
By się tęskna myśl rozwiała.
Powiedz gwiazdko czy te oczy
Prawdę mowią co tak rzewnie,
Patrzą w drugie, możnaż pewnie
Wierzyć w ten ich wdzięk uroczy?
Jam te oczy już widziała,
Czuciem tchnące ich wejrzenie,
Tkliwe, słodkie upojenie
I swoboda uleciała.
Płyń do niego, spójrz w serduszko,
Oceń gwiazdko jego tchnienie,
Poznaj tkliwe to wejrzenie
I bądź szczęścia mego wróżką!

O tak, bądź wróżką mojego szczęścia!.. Ale czy to szczęście będzie udziałem moim? O Jerzy! czy ty wiesz, czy przeczuwasz, że całe szczęście moje widzę tylko w tobie, myśl, marzenie, dusza moja gonią za tobą! O przybywaj mój Jerzy! Mój?.... A może.... o boję się wymówić tej myśli.... O nie, ta szlachetna dusza czuć umie, to męzkie serce bije silnie. Tak, on mię zrozumie, on mię odczuje,........on mię ukocha!... (słychać szelest, ona zadrżała, wchodzi służący).

SCENA II.

KLARA, LOKAJ później WIKTOR.

KLARA. Ach jak gwałtownie serce mi bije. Nie, to jeszcze nie on... (do lokaja): No cóż Antoni? Mów prędzej, czy nie chory pan Dzierzbicki—no mówże, proszę cię.

LOKAJ (zmęczony mówi pospiesznie). Takiem się spieszył, ażeby jaknajprędzej wrócić....

KLARA (niecierpliwiąc się). Ależ Antoni, mówże mi, coś widział, czyś był u pana Dzierzbickiego, zastałeś go?

LOKAJ. Nie zastałem w domu pana Dzierzbickiego, tylko służący mi mówił, że może pięć minut przed mojem przyjściem upłynęło jak pan ubrany na bal, wyszedł z domu i bardzo się śpieszył, bo przed wyjściem odebrał jakiś list.

KLARA. Nic ci więcej służący nie mówił?

LOKAJ. Nie, proszę pani.

KLARA. To dobrze możesz już odejść (Lokaj odchodzi).

(d. s.) Więc wybrał się na bal, odebrawszy list poprzednio..... Co znaczy ten list, jego pośpiech?... Gdyby szedł do nas, jużby tu był niewątpliwie. Widocznie poszedł na jakiś bal inny.... może ten list właśnie wzywał go; czy nie pisany jaką piękną rączką, z wymówkami, że nie przybył i to spowodowało ten pospiech? O Boże! toby było okropne dla mnie, przekładać dom inny nad nasz, towarzystwo innej osoby nad moje.... To być nie może, on tego nie zrobił. Pamiętam, gdy go mama prosiła, był taki piękny: z uśmiechem zadowolenia, jakby uszczęśliwiony przyrzekł nam że będzie. Teraz nie umiem sobie zdać sprawy; czy to było marzenie, czy ja śnię w tej chwili? (wchodzi Wiktor drzwiami od salonu, zatrzymuje się u takowych niepostrzeżony od Klary. Frak jego opięty kokardami do kotyliona). Nie, ja się nie mylę, tak było, a jednak dziś go nie ma. Może on mię nie rozumie, może nie myśli o mnie? Toby było niewdzięcznie z jego strony. Nie to być nie może, bo te śliczne myśli jakie niejednokrotnie rozwijał przedemną, należą do

pięknej duszy. A jeśli ta piękna dusza znalazła już inną, w takim razie czyż mam prawo nazywać to niewdzięcznością? Mimo to zdaje mi się, że jego serce do mnie tylko należeć powinno.

Wiktor (postępuje ku Klarze i kłania się z przesadą). Szukam właśnie pani, całe towarzystwo czuje jej brak, bo urok zabawy niknie, gdy nie ma królowej kwiatów.

Klara (do siebie, nieco zmięszana). Może mię podsłuchał... (do Wiktora). Nie stosowne porównanie panie Pleciński i niewłaściwie przyznana zasługa.

Wiktor (j. w.). Wonna róża nie wie dokładnie o swojem zapachu, a żywa królowa kwiatów nie domyśla się uroku, jaki na około roztacza.

Klara (obojętnie). Ja nie nie jestem królową kwiatów, panie Pleciński.

Wiktor. Jesteś pani królową róż.

Klara. Róża miewa kolce... Pozwól pan że się oddalę do towarzystwa, któremu winnam obecność moję jako wice-gospodyni.

Wiktor. Czy nie mógłbym panią prosić o jednego kotyliona?.. rozkoszna muzyka powołuje panią....

Klara (przerywając). Wybacz pan że mu tym razem odmówię, czuję bowiem ból głowy. Może później służyć panu będę... (odchodzi do salonu).

Wiktor (patrząc za odchodzącą). Tydzień temu dostałem arbuza jako konkurent o jej rękę, a teraz daje mi kosza jako pierwszemu tancerzowi kotyliona. I dla czego, dla kogo?. Ona kocha kogoś, wszak słyszałem przed chwilą: poetyzowała, prawie rozpaczała, majaczyła... Ale kim u diabła mogła sobie zawrócić tak głowę? O ja się muszę dowiedzieć. Będę ją miał na oku, bo to niebezpieczne jej zadurzenie, może mi głupiego wypłatać figla. Tak, trzeba ją śledzić (zapala papierosa). Poczekaj śliczna pani, jeśli myślisz, żeś się już mnie pozbyła, to jesteś w błędzie. Wiktor Pleciński nie łatwo kapituluje... Dziś tu przybyłem, ażeby ci pokazać, że nie uważam twej odmowy za stanowczą. Dałaś mi raz odprawę, oświadczę się powtórnie, a gdy i ten atak odeprzesz, dam ci czas do wypoczynku i szturm przypuszczę po raz trzeci — a zawsze z uśmiechem niezmiennego twego wielbiciela. Jeśli mię nazwiesz natrętnym, arogantem, to bądź pewna, że tem mię nie zrazisz. Gdyby szło tylko o twoje wdzięki, sam bym ci przyznał słuszność, bo narażać się komuś dla jego pięknych oczów, to dziecińswo, głupstwo, a nawet brak wychowania, ale tu idzie o interes. Dwa kroć sto tysięcy to kapitał, to kolosalny majątek — dla łaknącego. Cóż to jest życie bez pieniędzy? To armata bez bomby, to generał bez wojska. Życie składa się z chwil: ciężkich i rozkosznych, wszak do nas samych należeć powinien wybór tych chwil. Sądziłbym, iż każdy woli wybrać lżejsze... Jednak są tacy, jakkolwiek mała tylko garstka, którzy powiadają, że celem życia jest praca. O biedni, dla was tylko litość. Spojrzyjcie na ten piękny świat udekorowany honorami, tytułami, bogactwy, brylantami: prawdziwa jubilerszczyzna. Czy sądzicie, że to pracą, zasługą prawdziwą doszli do tego? O sardonicznym śmiechem odpowiem wam. Weźcie latarnię i szukajcie w okularach, a zaprawdę, powiadam wam, że nie tam są sprawiedliwi. Odejmijcie im te błyskotki, a zobaczycie nędzarzy. Praca i trudy to nadto jałowe pole dla rozkoszy, na takiej niwie nie rodzi się szczęście tego świata. Być więc podobnym do innych, a zręczniejszym od nich — to jedyna konsekwencya. Życie więc to.... (przy tych słowach wpada z salonu Artur zmęczony tańcem z kamelią wpiętą we frak).

Scena III.

Wiktor, Artur (uderzając w kolano Wiktora z wygodą siada przy nim mówiąc):

...Blaga kochany dyrektorze klubu łowczych posagowych, — prezesie orgij, uwodzicielu demimondu i zachwycający danserze!

Wiktor. Może froterze?...

Artur. No, no, tegom nie powiedział. Ale że życie jest ogromną blagą, to masz świętą racyę. No zapal papierosa (podaje Wiktorowi papierosa i sam zapala).

Wiktor. Wszystko blaga, i twoja Jadzia także....

Artur. Myślisz, że ja jej wierzę? Trzech groszy bym nie dał za jej dla mnie gorącą miłość i za jej wierność.

Wiktor. Nie dałbyś trzech groszy, a tracisz na nią grube pieniądze.

Artur. No widzisz, to dziewczyna jak malina, a trudno od niej żądać bezinteresowności. Cóżby te biedaczki robiły, żeby nas i naszych kieszeni nie było i nawzajem, coby się stało z nami, z naszą wesołością niekłamaną, gdybyśmy nie mieli uroczych miejsc, gdzie (nuci) Zdala od świata aniele mój drogi, złączeni razem spędzimy życie (przy tych słowach wchodzi Jerzy drzwiami od przedpokoju).

Scena IV.

Ciż. Jerzy.

Jerzy. Ho, ho, wesoło. Brawo Arturze, Violeta w robocie!..

Artur (podając mu rękę). Jesteś przecie kochany poeto, dla czego tak późno? Zapewne jaka gwiazda nocy zatrzymała cię, z ty zachwycony, całowałeś rąbek niewinnej jej szaty, następnie unosząc się w krainy Eldorada, ściskałeś jej kibić i całowałeś w buzię.

Jerzy. Prześlicznie, zawsześ ten sam, nigdy niepoprawny ale wybacz, nie mogłem przyjść prędzej (do Wiktora podając mu rękę). Witam pana.

Wiktor (witając go). Czuliśmy brak pana, a szczególniej panie...

Jerzy. Pan zbyt uprzejmy, tem bardziej że w tej chwili panu należy się palma pierwszeństwa, jako najlepszemu tancerzowi. A sądząc po kokardach, któremi udekorowano pana, mam zupełną słuszność mniemać, że takowa już mu przyznaną została.

Wiktor. Bardzoś pan łaskaw.

Artur. No, no, tylko bez tych nadzwyczajnych grzeczności. Jeden i drugi ozdoba salonu, a ja ozdoba buduaru.

Jerzy. Moj Arturze, żebyś ty już raz zaczął mówić o czem innem zamiast o buduarach. Zanadto widzę Wenus opiekuje się tobą.

Artur (przerywając). Tram, ta, ram, zaczynasz morały, a ja niepoprawny, a zawsze wierny rycerz Wenery, czołem biję przed tą boginią, składając jej niewyczerpane hołdy i pię rozkoszny nektar, jaki na osłodzenie cierpień biednej ludzkości w spuściźnie po sobie zostawiła. Właśnie przed twem przybyciem rozmawialiśmy o tej rozkosznej Jadzi, którą chciałeś rehabilitować, lecz ci to jakoś niezręcznie poszło. Widocznie jest ona większą zwolenniczką wesołości i złota, jak morałów. A jednak uśmiechała się do ciebie, szczęście żem przybiegł na czas, by ją uratować od zbłąkania się na manowce cnoty i może zakonnego życia, gdzie w sukni szarytki okupywałaby chwile minionej wesołości. Przyznaj sam że szkodaby było poświęcać ją na tak twarde życie, ona by tam wkrótce zwiędła.

Jerzy. Czy mówisz poważnie?

Artur. Najpoważniej w świecie.

Jerzy. To się mylisz. Nie potrzebowałaby być szarytką ażeby odpowiedzieć powołaniu, jakie natura i obowiązki społeczne wkładają na kobietę.

Wiktor. A czyż ona nie spełnia swoich obowiązków, i to z sumiennością? Artur najlepiej wie o tem, dosyć już go kosztuje. Ja bo pod tym względem dalej od niego zaszedłem. Kieszenie zamykam a otwieram serce.

Artur. Czyli inaczej, bierzesz na lapę. Wiesz że to bardzo praktyczne, muszę i ja się kierować taką polityką, a wtedy dorosnę mego mistrza!

Jerzy. Nie zazdroszczę ci takiego zwrotu (z lekką ironią). Doprawdy, umoralniać się zaczynasz.

Artur. (śmiejąc się). Znasz to? (nuci). Moraliści których cała cnota... ha ha ha.

Wiktor (śmiejąc się). Ha ha ha, masz racyę. Ale kochany panie Jerzy jesteś za skromny. Chciałbym jednak cię widzieć w wesołem gronku półświatka.

Jerzy. Tam mnie pan nie zobaczysz.

Wiktor. Nie wierzę.

Artur. Ja także nie. On się tak urządza, że go nikt nie widzi.

Jerzy. Moi panowie — wierzcie lub nie, wszystko mi jedno. Zresztą nie wy jedni nie wierzycie i nie wy jedni prowadzicie to życie bez celu. Jest to gangrena, że tak powiem, ogółu młodzieży, podobnej do was, gangrena tem większa, że zwątpiliście nawet o sobie, skoro wątpicie o drugich.

Wiktor. Ależ panie Dzierzbicki, nie martw się pan o nas, my wcale nie chcemy się poprawić, jest nam bardzo dobrze, żyjąc jak dotąd. Zdaje mi się jednak, żeś pan przecholował, nazywając podobne życie gangreną i to jeszcze gangreną ogółu młodzieży. Cóżeśmy takiego zrobili panu?

Jerzy. Mnie — nic, lecz sobie — dużo złego. Ale co tam, nie dziwię się panom, że drwicie z poważnego życia, że drwicie z poprawy, nie wy jedni odrzucacie głos prawdy, bo was ta nudzi, lecz powiadam wam, przyjdzie i na was czas, oby tylko nie przyszedł za późno, gdy zapragniecie zrozumieć co złe ażeby pojąć co dobre, wyjść czyści i drugich wyprowadzić z tej fermentacyi życiowej.

Artur (z uśmiechem). Ależ zacny panie mój, o kogóż ci idzie, czy o tę moję Jadzię? No, zgodnym sposobem odstąpię ci ją, bo ostatecznie

nie robię sobie wielkich ceremonij z podobnemi istotami.

JERZY. Na prawdę, mój Arturze, zaczynam ci się dziwić. Czy istotnie wymiotłeś z siebie ostatnie iskry uczucia i ludzkości, że zdolny jesteś poniewierać nawet podobnemi istotami.

ARTUR (wybuchając śmiechem). Ha ha ha, dla nich uczucie? Żartujesz chyba, to są bawidełka za które się płaci, to są piękne sprzęty.

JERZY. Które się bierze nawet, jak powiadasz sam, „na łapę," czyli inaczej, wyzyskuje się, odmawiając im praw człowieczeństwa.

WIKTOR. A ciekawym, jak ich inaczej traktować.

ARTUR. One nas wyzyskują, my im odwzajemniamy się. Wreszcie one są stworzone dla zabawki naszej.

JERZY. A któż to wy jesteście moi panowie, co przywłaszczacie sobie prawo nad temi biednemi istotami?

ARTUR. Zabawnyś, my jesteśmy złotą młodzieżą.

JERZY. Kłamstwo, wy jesteście *petit crevé*, jak słusznie was nazwano. One zaś są nieszczęśliwemi ofiarami wyuleczonemi przez was z łona rodzin, a popchniętemi waszą igraszką w przepaść, która co raz bardziej ich pochłania bez nadziei ratunku, — bo ludzkość odtrąca je jak parye. Nikt nie wnika w przyczyny ich upadku, a sprawcy takowego, zamiast podać im rękę, odwracają się szyderczo, sięgając po nowe ofiary. Tak, wierzajcie mi, to są ofiary, za które tacy jak wy przyjąć winni całą odpowiedzialność.

WIKTOR (do Artura). A to ci rznie prelekcyę.

ARTUR. Powiedz raczej kazanie.

JERZY. Życie więc w tej sferze jest czcze, smutne, wymiatające ostatnią iskrę uczucia z serca człowieka, a natomiast rodzi znudzenie i szyderstwo. To nie są zbyt wesołe rzeczy.

ARTUR. Doprawdy... A to prawi jak z katedry — ha ha ha, jesteś nowym Dumasem synem.

JERZY. Mój Arturze, życzyć sobie powinieneś postępować zgodnie z duchem jego zasad.

ARTUR. Mój gromowładny panie, gdyby ci przyszło ująć się tak za wszystkiemi, apostołować wszędzie, to nie wiem czyby ci starczyło sił, czasu i słów.

WIKTOR (ziewając). Byłoby to opłakane apostolstwo.

ARTUR. A gdybyś chciał zrobić wycieczkę reformatorską w sferę pań naszych koteryj (pokręca głową).

JERZY. Nie rozumiem cię.

WIKTOR. Artur jasno się tłómaczy. Powiada bowiem, że przy moralności ogółu kobiet z naszej sfery, możnaby postawić wielki znak zapytania. I ma słuszność, ja to samo przyznaję. Wreszcie, dla czegóżby one nie mogły użyć sobie trochę wolności, ażeby zakosztować tego zakazanego dla nich życia, po za firanką skromności. — Świat jest o tyle dobrze wychowanym, że się niezechce niczego domyślać.

ARTUR. O to, to, właśnie, dobrześ pojął myśl moję. Większa część płci pięknej uwieńczon jest aureolą wątpliwej barwy. Wreszcie i na słońcu bywają plamy — nic więc dziwnego, że i te piękne istotki pozwolą czasami sobie... Nie rzucam na nie gromów za to, byłbym bowiem nieprzyjacielem własnym — wolę więc być pobłażliwym. Strzeż się jednak Jerzy, robiąc wycieczkę reformatorską, ażebyś sam nie został zreformowanym, bo to są czarodziejki. One głośno prawić z tobą będą o moralności, będą się zżymać na zepsucie, uplotą ci nawet wieniec z białych róż, jako symbol niewinności, a włożywszy go na twe skronie, nazwą cię obrońcą kobiet, w nagrodę położonych przez ciebie zasług. Ale gdy ten ich zapał dla cnot teologicznych minie — możesz się postarać najpierw o kamelię na pamiątkę, później o rendez vous......

JERZY (przerywając). Za dużoś powiedział, lekceważyć zaczynasz, strzeż się by nie nadszedł czas, w którym żałować tego będziesz...

ARTUR. O bądź spokojny, nie pożałuję tego. Wreszcie to wszystko czysta prawda, po cóż nam przed nią oczy zasłaniać....

JERZY. Mówić prawdę jest obowiązkiem każdego, ale rzucać potwarz na ogół płci, która jest podstawą rozwoju społecznego, która przeważnie dzierży wychowanie pokoleń, to wcale nie zaszczytne. Wstydź się mówić coś podobnego.

ARTUR. Ależ mój kochany, urojoną masz opinię o tej pięknej połowie rodzaju ludzkiego. Ja nie rzucam potwarzy, tylko mówię z przekonania.

JERZY. Zdaje ci się że to przekonanie. Nazwij to raczej lekkomyślnością, własnem zepsuciem....

ARTUR. Mój kochany, pozwól sobie powiedzieć, że wiem co mówię. Powiem ci nawet, że tu, na balu możebym znalazł kilka dam, któreby z przyjemnością słuchały o owocach zakazanych. Więcej powiem, może ta kamelia, którą widzisz oto wpiętą blizko serca mego, jest już pierwszym zadatkiem chwili......

JERZY (przerywając). Arturze, dosyć....

ARTUR. Chwilę jeszcze, a skończę...

WIKTOR. Śmiało rycerzu!

JERZY. Przeszedłeś samego siebie....

ARTUR (przerywając). Pozwól mi dokończyć.

JERZY. Słucham więc.

ARTUR. Nie cofnę się z drogi jaka mię doprowadzi do uroczych chwil, których improwizatorką będzie właścicielka tej oto kamelii. Gwarantuję ci to kochany Jerzy, biorąc za świadka Wiktora.

JERZY. I ty masz czoło posunąć się do podobnej myśli? Czyżbyś doprawdy doszedł do tego, że płeć twej matki, siostry i w przyszłości żony, nie budzi już w tobie najmniejszego szacunku? Czy sumienie pozwala ci bezkarnie rzucać oszczerstwa nawet na tych, co przybywają w gościnę do domu twej matki? Słuchaj Arturze, lekkomyślna chełpliwość twa wydaje mi się poczwarną i powtarzam ci po raz drugi, strzeż się, ażeby nie nadeszła prędzej, aniżelibyś chciał, chwila w której ciężko może pożałujesz tego, coś dopiero powiedział. Nie sądzę bowiem ażebyś się już miał pozbyć resztek szlachetności, by w danym razie nie odczuć chwil, które serce tylko zrozumieć może.

ARTUR. Jerzy — widzę, że egzaltujesz, a ja oziębłej na te rzeczy spoglądam i dobrze robię. A wyszukana moralność, to blaga mój kochany.

WIKTOR. Kto jest właścicielką kamelii. Jako świadek powinienem wiedzieć.

ARTUR. To śliczna pani Le....

JERZY (zasłaniając mu usta ręką). Wstrzymaj się.

WIKTOR (dokończając). Pani Leonia, czy być może?

ARTUR. Zapóźno, już się stało.

JERZY. Kto ona, ta piękna młoda mężatka, której mąż wyjechał obecnie za granicę? Szalony chłopiec!

ARTUR. Właśnie, najlepsza pora. A zdobycz cudowna przyznajcie sami.

JERZY (wypogadzając czoło klepie po ramieniu Artura). O mój biedaku, nie takich rycerzy wybierają na podobne łowy. W obec ciebie zwierzyna zupełnie jest bezpieczną.

ARTUR. Czy tak?

JERZY. Jestem tego pewny.

ARTUR. Ja również swego.

WIKTOR. Może zrobicie zakład?

ARTUR. Zgoda, ja wszystko trzymam.

JERZY (n. s. niby wahając się). Trzymać zakład o honor kobiety........ do czegośmy już doszli...... no, wszak to w obronie dobrej sprawy (do Artura). I ty się decydujesz?

ARTUR. Najzupełniej.

JERZY (stanowczo). Więc dobrze.....

ARTUR. Co trzymasz?

JERZY. Trzymam wszystko, na co mi możność pozwala; ale na ciebie nałożę może dość ciężki warunek.

ARTUR. Słucham.

JERZY. Ty ze swej strony, uroczyście mi przyrzeczesz poprawę — ale uprzedzam, że to zakład bardzo honorowy.

ARTUR. Czy nie mógłbyś znaleść innego warunku, choćby cięższego?

JERZY. Nie mój Arturze, ten warunek jest wysokiej doniosłości. Mogę ci nawet dać czas do namysłu, ażebyś się zastanowił nad rozległością jego.

ARTUR (po chwili namysłu). Zgadzam się. Ale ostrzegam, byś nie przedsięwziął żadnych podstępów, mogących krzyżować me plany.

JERZY. Bądź spokojny. — No, a ty czego żądasz?

ARTUR. Napiszesz dzieło o emancypacyi kobiet i dedykować go będziesz mnie, a ja przyjmę takowe bardzo uprzejmie.

JERZY (podając rękę Arturowi). Zgoda....

ARTUR (biorąc go za rękę). No, Wiktorze przecinaj....

WIKTOR (na str.). A to głupi zakład, myślałem, że pójdziemy do Stępka i palniemy szampi.... (głośno). Za pozwoleniem, jak długi termin naznaczacie na ekspiracyę zakładu.

ARTUR (namyślając się). Niech będzie miesiąc (do Jerzego). Zezwalasz?

JERZY. Dobrze. Dziś mamy koniec stycznia.

WIKTOR (przecinając). Więc do końca lutego.... (wchodzi pani Ciszewska drzwiami od salonu).

SCENA V.

Ciż i pani CISZEWSKA.

P. CISZEWSKA. A to ślicznie moi panowie, tam się panie nudzą, gdy wy tu w najlepsze rozprawiacie; zapewne o jakich wielkich projektach (spostrzegając Jerzego). A... pan Dzierzbicki, — witam pana. To się tak późno przychodzi? (grożąc mu palcem). Ej panie Jerzy.....

JERZY (witając ją). Niech mi pani wybaczy i zechce szczerze wierzyć, że ważny powód spóźnił me przybycie.

P. CISZEWSKA. Najzupełniej panu wierzę i dziękuję żeś pan przybył. Lepiej późno jak wcale. Ale o czem rozmawialiście tak poważnie przed chwilą, czy nie rozstrzygaliście losów społeczeństwa bo znalazłam w was moi panowie dyplomatyczną powagę.

WIKTOR (z wymuszonym uśmiechem). Właśnie pani dobrodziejko kwestya społeczna była na stole. Rozmawialiśmy o pięknej połowie rodu ludzkiego.

ARTUR. Jerzemu, moja mamo, należy się korona z dębowych liści, uwita najpiękniejszemi niewieściemi rączkami, pobłogosławiona tysiącem najczulszych westchnień w nagrodę żelaznej wytrwałości, z jaką na każdym kroku staje w obronie kobiet.

P. CISZEWSKA. Zawsze słyszałam pana Jerzego z godnością mówiącego o płci naszej, co mu zjednało mój szacunek. Tem milej dziś umacniam takowy, że ty mój synu masz tak piękny przykład i spodziewam się, że korzystać z niego będziesz (ściska rękę Jerzego). Serdecznie panu dziękuję w imieniu ogółu kobiet.

JERZY. Ja chcę być sprawiedliwym tylko, zasługa zaś leży po stronie pań.

P. CISZEWSKA. Jak mało panów przejmuje się podobnemi zasadami. Pana zaliczyć można do wyjątków.

JERZY. Trochę dobrej woli z mej strony łaskawa pani.

P. CISZEWSKA. Jakżebym pragnęła, ażeby mój Artur był podobnym do pana. On jest za nadto lekkomyślnym, a czas już ażeby się ustatkował — czas myśleć poważniej, tem bardziej, że on powinien być tu głową domu, a prawie wcale o nim nie myśli. Ja, o ile mogę, zachowuję energię w interesach naszych; ale czy długo będę mogła zajmować się niemi, trudno to wiedzieć. Oj! czas Arturze, ażebyś właściwe sobie zajął miejsce.

ARTUR (całując matkę). Moja droga mateczko, wszak często dojeżdżam do naszego hrabstwa, oglądam czy wszystko w porządku i wracam.

P. CISZEWSKA. Zapewne — dzień bawisz na wsi, a dwa miesiące w Warszawie, to trochę za dużo.

JERZY. Artur jeszcze szumi, to prawda, ale zdaje się, że wkrótce nastąpi przesilenie.

P. CISZEWSKA. Daj Boże.

ARTUR. Nim to nastąpi moi państwo, chodźmy do salonu (podaję rękę matce).

P. CISZEWSKA (odchodząc). Proszę panów (odchodzą).

JERZY (wraca odedrzwi i siada przy kominku).

d. n.

JULIUSZ CEZAR
I JEGO DZIEŁO.

przez
W. Z.

tłómaczenie z rossyjskiego.

(dalszy ciąg).

Cezar pochwyciwszy konsulat i Pompejusz, z wielkim hałasem zapowiedzieli nadanie praw rolnych, cała rzecz jednak zredukowała się do rozdania gruntów kilku tysiącom ludzi, po większej części weteranom Pompejusza.

Dosyć jednak było samego imienia praw agrarnych, ażeby obudzić opór w senacie a w ludzie zjednać przychylność dla tryumwirów i nienawiść dla ich przeciwników. Cezar wsławił się z urzędu jako główny działacz, tak że samo prawo nosi jego imię. Pompejusz zyskał popularność, albowiem rozdane grunta kupiono za pieniądze zdobyte przez niego na wojnie. Ugłaskawszy demokracyę rzymską takim datkiem, mieszkańców Italii pozbyto się także niewielkim kosztem, przez nadanie im praw municypalnych, szczególniej tam gdzie to effekt wywoływało, np. w Kapui, która od 150 lat była pozbawioną tego prawa za przymierze z Hannibalem.

Jednocześnie tryumwirowie uspokajali tych, którym dobrze było z nieszczęściami ogółu zaręczając, że zbyt daleko nie posuną się w rewolucyjnych figlach. Okazali więc opiekę equitom, tej kaście pijawek, lichwiarzy i zdzierców. Equici odkupywali podatki na prowincyach przy pomocy najstraszliwszej grabieży. Tryumwirowie nie tylko, że ich nie poskromili, ale zmniejszyli ich opłaty.

Ażeby to wszystko ugruntować tryumwirowie wynaleźli sposób, później bardzo często i zawsze z powodzeniem praktykowany. Przekupiono więc jednego z equitów Vettiusa, ażeby wynalazł spisek na ich życie; Vettius tak niefortunnie urządził całą historyę, że wszyscy domyślili się o co rzecz chodziła, Cezar więc kazał wsadzić do więzienia Vettiusa, za fałszywą skargę, potem go uduszono, potem ogłoszono że sam sobie odebrał życie, a nakoniec co do reszty zdano się na wolę Bożą.

Bądź co bądź konsulat Juliusza Cezara bardzo wysunął naprzód i prawie zrównał z Pompejuszem. Kiedy termin minął, zaczął się Cezar starać o prokonsulat w Galii cisalpińskiej, zapewne w celu zyskania wojskowej siły, przy pomocy której mógłby pochwycić dyktaturę.

Spodziewał się, że trzymając w swej mocy armię i prowincyę, pochwyci kiedykolwiek sposobność z jakiej nie chciał skorzystać kiedyś Pompejusz po powrocie z wojny z Mitrydatem.

Pompejusz tem chętniej pomagał mu, że poznawszy współzawodnika radby pozbyć się go w Rzymie.

Senat zaś nie tylko dał to co żądał Cezar, ale dołożył mu jeszcze Gallię transalpińską. Jeden tylko Kato przewidział przyszłość i z przerażeniem ostrzegał „ojców,“ ażeby nie dawali przeciwko sobie broni w rękę tyrana. W polityce jednak podobnych ostrzeżeń nikt nie słucha, bo bieżące kłopoty zawsze najgroźniejszemi wydają się.

Tymczasem rozkład społeczeństwa, przy którego pomocy wydźwignął się Juliusz Cezar, nie przestawał i nadal działać; na miejsce jednego intryganta który wyjechał, wystąpiło i wzniosło się dwóch awanturników to jest Klaudiusz i Milon, którzy poszli utartym torem. Z początku tryumwirowie dopomagali Klaudyuszowi, ażeby przy jego pomocy pozbyć się Cycerona, którego rzeczywiście też wygnali, ale Klaudyusz stał się tak nieznośnym i tak otwarcie zaczął występować przeciwko tryumwirom, aby się pozbyć nowego Katyliny, że trzeba było na przeciw niego wystawić drugiego awanturnika Milona i przy jego pomocy dopiero po 11 miesiącach wygnania Cyceron mógł powrócić do Rzymu.

Tak więc senat i Pompejusz byli zbyt słabi, awanturnik każdy mógł wyrabiać co chciał, rzeczpospolita była w najzupełniejszej anarchii. Na nieszczęście ludzie uczciwi i wykształceni z arystokracyi byli najzupełniej zaślepieni własnemi interesami kastowemi, i widzieli całe złe w agrarnem prawie Cezara i wytężali całe siły na to, ażeby znieść te prawa, przez co tracono resztę znaczenia w kraju.

Pompejusz znów mógł ją upokorzyć, ale zbyt uczciwy na podstępne działanie, chciał legalnie wyjść z trudnego położenia przez uzyskanie konsulatu wraz z Krasusem. Ale w oczach arystokracyi był on sprawcą agrarnego prawa, spiskowym z trójgłowego potworu, opiekun Klaudyusza, arystokracya więc zjednoczyła się przeciwko niemu opozycyą. Katon i Dometius Agepobarb zacięty konserwatysta, tak silnie wystąpili przeciw niemu, że Pompejusz widząc upadającą nadzieję zostania nawet konsulem, on który przed kilkoma laty mógł był zostać władcą Italii, pojechał do Juliusza Cezara i uprosi, ażeby tenże przysłał mu przebranych żołnierzy dla podtrzymania kandydatury, obiecując za to jeszcze na 5 lat przedłużyć Cezarowi władzę prokonsularną.

Cezar tymczasem idąc śladem przechwalonego wujaszka, zbierał sobie armią, z którą gotował się zawojować rzeczpospolitą; tymczasowo więc mógł mu pożyczyć żołnierzy, co tem więcej było i dla niego dogodnem, że był nieprzygotowany do otwartego buntu, w Rzymie zaś jeśliby przyszło do władzy stronnictwo nieprzyjazne trójgłowemu potworowi, to mógłby zostać pozbawiony stanowiska, które pomagało jego wywyższeniu.

Pompejusz napróżno używał wszystkich pseudo-legalnych sprężyn, ażeby dostać konsulat, los tryumwirów wisiał na włosku, i tylko pomocą żołdactwa cezarowego, po bójce w której zabito kilku ludzi, a Kato był raniony, Pompejusz i Krassus wybrani na konsulów.

Za pomocą takichże samych gwałtownych środków inne zamiary tryumwirów zostały spełnione, przedłużono władzę Cezara w Gallii, na drugi rok naznaczono Pompejuszowi prokonsulat w Hiszpanii, a Krassusowi w Syryi.

Po śmierci Krassusa, tryumwirat zamienił się na duumwirat.

Zmierzywszy całą głębię swojego upadku, trudnością z jaką dobił się konsulatu, Pompejusz ażeby umocnić się na swojem stanowisku, starał się osłabić władzę senatu i siłę

arystokracyi. W tym więc celu kiedy już zbliżał się koniec jego władzy, za pomocą rozmaitych intryg przeszkadzał nominacyom rozmaitych urzędników i doprowadził bezrząd do takiego stopnia, że trybunowie zażądali zrobienia Pompejusza dyktatorem, a Biblus i Katon pojedyńczym konsulem.

Był to dla niego szczyt marzeń. Oceniono go nareszcie, zasługi były wynagrodzone; Pompejusz więc zmiękł, ogarnął go nagle szacunek dla Katona, zabłysnął umiarkowaniem i zrzekając się władzy naznaczył interrexa. Ażeby wzmocnić swoje stanowisko, Pompejusz zaczął wspomagać Klaudyusza, jak niegdyś Cezara, na którym zawiódł się, albowiem Cezar nie tylko nie był narzędziem, ale jeszcze kosztem jego wznieść się potrafił. Niewiadomo czy z Klaudyuszem lepiejby powiodło się, bo tego zabił wkrótce potem Milon. Zamieszki jakie wybuchły z tego powodu, znów posłużyły do połechtania próżności Pompejusza. Naznaczono go na konsula bez towarzysza z pochlebnem poleceniem zaprowadzenia spokoju; teraz miał naczelną władzę, był kochany i szanowany.

Stanąwszy na tej wysokości Pompejusz ze zdziwieniem spostrzegł, że i Cezar nie tracił czasu, ale panował w Gallii jako niezależny monarcha na czele 12 legjonów wybornego wojska, otoczony blaskiem sławy wojennej. Zamiast intryg, narzędziem w jego rękach była pyszna armia; zamiast reputacyi rozpustnika i utracyusza „męża wszystkich żon i żony wszystkich mężów“ i ulubieńców króla Nikodema, teraz miał sławę wielkiego wodza. Zresztą nie tylko zazdrosnego Pompejusza to przeraziło. Kato także przypomniał sobie obawy jakie poprzednio wynurzał i zadrżał widząc jak szybko Cezar posunął się na drodze swoich zamiarów.

Nareszcie opinia publiczna zaczęła podejrzywać Cezara. Poeci Licinius Calvus, M. Furius, Bibaculus i Qu. Valerius Catullus wstydzili zniewieściałych Rzymian, Cezar był dla nich przedmiotem wstrętu i pogardy. Ani boskie pochodzenie, ani wysławione pokrewieństwo z Maryuszem nie mogły mu nawet dać cienia popularności. Na pewno więc twierdzić można, że gdyby przeciwnicy jego mieli cokolwiek więcej rozumu, Cezar nigdyby nie naraził się na zmianę pewnego na niepewne i nie przeszedł Rubikonu, pomimo wszystkich zamiarów i marzeń.

Dziś nie był on już w tem położeniu co dawniej, kiedy nie miał nic do stracenia. Ośm lat prokonsulatu dały mu majątek, sławę, potęgę z którem nie tak się łatwo rozstać można. I rzeczywiście, starał się uniknąć ryzyka i całemi siłami pragnął zostać na 704 rok konsulem, ażeby po ukończeniu terminu prokonsulatu, powrócić do Rzymu, pod płaszczykiem urzędu. Przeciwnicy jego odpowiedzieli, że chociaż dostanie konsulat, nie złoży jednak władzy nad prowincyami i wojskiem, użyje zaś tylko konsulatu jako narzędzia uzurpacyi; wtedy Cezar zgodził się na zdanie władzy komu innemu nad obiema Galliami, sam zaś chciał zatrzymać tylko Iliryę i jeden legion aż do czasu objęcia konsulatu. Jeżeli to tylko był podstęp ażeby zamaskować rzeczywiste plany, to dosyć było zgodzić się na to ażeby go zniweczyć. Pompejusz jednak i pojednana z nim arystokracya, jak gdyby umyślnie zmuszali Cezara do ostateczności, przez postanowienia które nie dając im najmniejszej przewagi nad konsulem i nie osłabiając go nawet, zmuszały prawie ażeby na złamanie karku rzucił się w walkę, mającą się skończyć upadkiem rzeczypospolitej. Zaczęło się od prawa *de ambitu* skierowanego przeciwko przekupstwu w czasie wyborów; prawo to zagrażało Cezarowi i jego przyjaciołom i w przeddzień wojny domowej wywołało w Rzymie masę prześladowań i kłótni. Nie śmieli tknąć się Cezara, ale dość na tem że przerazili go i pokazali co go czeka od arystokracyi; Kato otwarcie pod przysięgą obiecywał, że wyprowadzi w pole Juliusza Cezara, byle tylko mógł go przymusić do rozpuszczenia wojska. Wszyscy więc byli pewni, że Cezara spotka los Milona, jeżeli powróci do Rzymu nie osłoniony urzędową powagą. Pomimo potwornego przekupstwa przez które Cezar potrafił sobie zyskać nawet takich ludzi jak konsul Paweł Emilius i trybun Curio, nie wybrano go na konsula. Wybór padł na kreatury Pompejusza w tej liczbie Kladyusza Marcella, który natychmiast zwrócił nieprzyjazne kroki przeciwko Cezarowi. Zażądał, ażeby odebrano Cezarowi prokonsulat przed terminem i ażeby armia jego była rozpuszczona. Przekupiony Cario odpowiedział na to, że w takim razie i Pompejusz powinien złożyć prokonsulat Hiszpanii, albowiem obydwa są zarówno niebezpiecznemi dla rzeczypospolitej. Nie było na to co odpowiedzieć, albowiem Curio miał za sobą i logikę i prawo, odebrać zaś Pompejuszowi wojsko i prowincye było toż samo co złożyć broń. Kiedy główny cel nie udał się, Marcellus wywarł złość niegodnym i haniebnym sposobem.

Arystokracya jak zwykle obchodziła tryumfalnie zwycięztwo zanim się bitwa rozpoczęła, odbierając prawa obywatelstwa nadane rozmaitym miastom za konsulatu Cezara. Ażeby okazać pogardę dla przywilejów nadanych przez Cezara, Marcellus kazał schwytać przejeżdżającego przez Rzym obywatela cezalpińskiego miasta Novum Comum, oćwiczyć rózgami a to ażeby dowieść, iż pomimo praw cezarowych, rząd nie uznaje mieszkańców prowincyj za rzymskich obywateli. Oćwiczonego wysłał z Rzymu i kazał mu jechać do Cezara na skargę. Oprócz tego korzystając z usługi cenzora Apiusza Klaudyusza wypędzono z senatu wszystkich przyjaciół Cezara w tej liczbie historyka Salustyusza. Wszystko to rozdrażniało obie strony, posłuchy zaś rozpuszczane przez ajentów Cezara o jego zbrojeniu się tak dalece wzburzyły senat i lud, że wybuch musiał nastąpić. Gdyby sam Cezar nawet wahał się, to ajenci jego i zausznicy należeli do tego gatunku ludzi jakim poprzednio był Cezar, którzy obawiali się ażeby rzecz cała zgodnie się nie ukończyła. Wystąpienia ich były do tego stopnia śmiałe, że drugi raz postawiono w senacie wniosek o odjęcie prokonsulatu Cezarowi. Curio, którego nikt nie podejrzywał ażeby miał być ajentem Cezara, powtórnie zażądał ażeby zastosowano do obydwóch prokonsulów też samą surowość, i pomimo oporu Marcellusa i innych przenikliwszych senatorów, obadwaj prokonsule zostali złożeni z urzędu. Pompejusz wziął to bardzo do serca i w odezwie do senatu przypominając swoje zasługi objawił: gotowość złożenia władzy którą mu narzucili; na końcu zaś objaśnił, że niebezpieczeństwo grozi tylko ze strony Cezara i że gdyby Cezar nie chciał złożyć broni, on gotów jest siłą zmusić go do tego.

Rzecz tak daleko zaszła, że nie było już więcej co robić. Rząd jednak i arystokracya chociaż poprzednio odrzucali zaspakajające propozycye Cezara, teraz okazali niespodziewaną uwożliwość. Obawiali się powierzyć Pompejuszowi siły zbrojne Rzymu i Włoch. Ajentom Cezara tylko tego było potrzeba. Projekt Marcella ażeby wysłać przeciwko Cezarowi dwa legiony będące pod ręką, za staraniem Curiona był odrzucony. Pompejusz widząc okazaną sobie niewiarę wyjechał z Rzymu. Cycero z lekceważeniem odzywał się o całym kryzysie, że jest to walka dwóch ambitnych o władzę, nie rozumiejąc, że w tej kłótni los rzeczypospolitej był zagrożony. Przekupieni przez Cezara trybunowie Marek Antonius i Cassiis Longinus, przesadzali się w pogróżkach, czego Rzym może oczekiwać od Pompejusza, tak, że nikt nie wiedział kogo się lękać należało — kiedy tymczasem Curio i inni przyjaciele Cezara podbudzali go ażeby natychmiast zaczynał wojnę.

27 grudnia Pompejusz w ogrodach swoich roztrząsając z Cyceronem pretensye Cezara na konsula, jako przypuszczenie powiedział, że Cezar jeżeli się dowie o nieprzychylnem dla siebie usposobieniu, może się zdecydować na wojnę domową, a tymczasem 1 stycznia 705 r., senat odebrał groźny list równający się wypowiedzeniu wojny. Wtedy senat zbudził się i po gorących dyskusyach 6 stycznia postanowił: Dent operam consules ne quid respublica detrimenti capiat. (Niechaj konsulowie postarają się, ażeby rzeczpospolita szkody nie poniosła).

Postanowienie to znaczyło przyznanie się do bezsilności i zarazem uznanie, że ojczyzna jest w niebezpieczeństwie.

Senat oblókł się w żałobę. Trybunowie położywszy na to wszystko swoje *veto*, uciekli do Cezara, przez co dali jego buntowi pewną cechę prawności, jako podniesionemu niby to w obronie praw trybunatu, pogwałconych przez arystokracyą.

Następnie senat i Pompejusz któremu przywrócono zaufanie i oddano obronę rzeczypospolitej, zajęli się wydaniem rozporządzeń o zebraniu sił wojskowych i rozdzieleniu prowincyj dotychczas pod władzą Cezara zostających pomiędzy przedstawicieli arystokracyi, szybki jednak jego pochód zmusił ich do tak pospiesznej ucieczki, że zapomnieli nawet pochwycić skarbów na Kapitolu zachowanych.

Pomijamy jako wszystkiem znane szczegóły wojny domowej, ażeby zobaczyć w jaki sposób Cezar użył władzy pochwyconej przez bunt.

Wszedłszy do Rzymu już 1 kwietnia, zaczął odgrywać zwykłą w takich razach komedyą, skarżąc się na nieprzyjaciół, którzy zmusili go do użycia siły i żądał ażeby senatorowie, którzy powstali w Rzymie pomogli mu

do zaprowadzenia porządku, to jest: ażeby u-legalizowali uzurpacyą w prawne formy. Przy tem wszystkiem z grubijaństwem despoty dodał, że może się obejść i bez tych form.

Mieszanina udawania z grubjaństwem, jest charakterystyczną cechą wszystkich uzurpatorów. Jednocześnie pospieszył używać skarbów porzuconych przez poprzedni rząd. Trybun ludowy Metellus mężnie bronił się przeciwko tej grabieży, ale Cezar odpowiedział mu znanemi sofizmatami, że czas wojenny, nie jest czasem pokoju, że nie sposób jest zawsze trzymać się prawa i t. d. (d. n.)

CHANCELLOR.

NOTATKI PODRÓŻNEGO J. R. KAZALLON

przez

Juliusza Verne.

(Dokończenie).

— Który? pyta się bosman.

— Andrzej, odpowiedział pan Letourneur. Andrzej usłyszawszy to, upadł bez zmysłów.

— No, ciągnijże pan dalej, ryknął cieśla Daulas, którego imię wraz z imieniem pana Letourneur, znajduje się dotąd w kapeluszu.

Daulas spogląda na swojego współzawodnika jak na ofiarę, którąby chciał pożreć. Pan Letourneur uśmiecha się prawie. Wyciągnął bilet przedostatni, powoli rozwinął, i jednostajnym głosem przeczytał: Daulas.

Ocalony cieśla odetchnął. Następnie nie czytając następnego biletu, podarł go w kawałki. Na jednym z nich, który poleciał aż w kąt tratwy wyczytałem: And...

Pan Letourneur rzucił się ku mnie, i wyrwał mi gwałtownie z rąk ten świstek, skręcił go w palcach, spojrzał na mnie poważnie i cisnął w morze...

LIV.

Dalszy ciąg 26 stycznia. Zrozumiałem dobrze; ojciec poświęcił się za syna, a nie mając nic prócz życia, chce je oddać za niego.

Zgłodniała banda nie chce dłużej czekać. Szarpania ich wnętrzności podwoiły się na widok ofiary, która jest im przeznaczoną. Pan Letourneur przestał być dla nich człowiekiem. Nic jeszcze nie przemówili, ale usta ich wyciągnęły się naprzód, zęby odkryte gotowe są do porwania gwałtownego, rozszarpią jak zęby mięsożernych z żarłocznością dzikich zwierząt. Czyż rzucą się na nieszczęśliwą ofiarę i pożrą ją żywcem.

Któż uwierzy, że w tej chwili odwołano się do resztki ludzkich uczuć jakie w nich mogły pozostać. Czyż wyda się komu prawdopodobnem, że głosu tego usłuchała zgłodniała tłuszcza?

A jednak stało się tak. Jednem słowem ich wstrzymano w chwili kiedy mieli rzucić się na pana Letourneur. Bosman mający spełnić powinność rzeźnika, Daulas z siekierą w ręku, pozostali nieruchomi.

Miss Herbey zbliżyła się a raczej zawlokła.

— Moi przyjaciele, rzekła, poczekajcie choć jeden dzień, tylko jeden dzień. Jeżeli jutro ziemia się nie ukaże, jeżeli żaden okręt nie spotka się z nami, nasz biedny towarzysz padnie ofiarą.

Drgnąłem usłyszawszy te słowa. Zdaje mi się, że ta dziewczyna przemówiła proroczo, że to natchnienie z nieba ożywiło jej szlachetną duszę! Nadzieja bez granic znów spłynęła do mojego serca. Może być, że w jednem z tych widzeń nadziemskich, jakie Bóg pozwala widzieć swoim wybranym, miss Herbey zobaczyła ląd lub statek mający nas ocalić!

Tak! trzeba poczekać jeszcze jeden dzień! Cóż znaczy zresztą jeden dzień w porównaniu wszystkiego cośmy dotąd przebyli.

Robert Kurtis myślał tak samo jak i ja. Przyłączyliśmy się do próśb miss Herbey. Falsten w tymże samym duchu przemówił. Błagamy na klęczkach towarzyszów wspólnej niedoli, bosmana, Daulasa i innych. Majtkowie wstrzymali się i żaden z nich nie wyrzekł ani słowa.

Bosman rzucił siekierę i wyrzekł głuchym głosem:

— Dobrze więc, jutro ze wschodem słońca.

To słowo określa wszystko. Jeżeli jutro nie ujrzymy ani ziemi ani okrętu, straszna ofiara spełnić się musi.

Każdy powrócił na swoje miejsce i resztą sił stara się panować nad swojemi boleściami. Majtkowie skryli się pod żagle. Oczy ich przestały już patrzeć z nadzieją na morze. Nic ich nie obchodzi, prócz, że jutro będą jedli!

Andrzej Letourneur odzyskał zmysły. Pierwsze jego spojrzenie było dla ojca. Następnie wzrokiem przeliczył wszystkich pasażerów... ani jednego nie brak. Na kogóż więc los padł? Gdy Andrzej stracił przytomność, dwa tylko imiona były w kapeluszu: cieśli i ojca tymczasem obydwóch widzi przed sobą. Panna Herbey poprostu wytłómaczyła, że nie ukończono ciągnienia. Andrzej nie pytał więcej. Ujął za rękę ojca. Twarz pana Letourneur zachowała zwykły spokój. Uśmiecha się, widząc, że ocalił syna, poczem ci dwaj ludzie tak silnie z sobą spojeni, usiedli na tyle tratwy i zaczęli rozmawiać po cichu.

Wmieszanie się młodej dziewczyny wywarło tak silny na mnie wpływ, że porzuciwszy myśl samobójstwa wierzę w pomoc Opatrzności. Wiara ta wpoiła się we mnie tak silnie, że śmiem twierdzić, że zbliża się koniec naszej niedoli. Gdybym widział ziemię lub okręt o parę mil od nas, nie mógłbym się zdobyć na większą spokojność. Nie dziwcie się jednak temu. W mózgu moim wycieńczonym od głodu: mrzonki z rzeczywistością mieszają się bez ładu. Mówiłem o moich przeczuciach panu Letourneur. Andrzej ma też samą wiarę co i ja. Biedne dziecię, gdyby wiedział że jutro!...

Ojciec jego z powagą mnie wysłuchał i zachęcał do ufności. On także wierzy, przynajmniej tak mówi, że niebo nas ocali i nie szczędzi synowi pieszczot, niestety, już ostatnich. Później, gdy znalazłem się blisko niego, pan Letourneur nachylił się mówiąc mi do ucha:

— Polecam panu moje nieszczęśliwe dziecko. Niechaj się nigdy nie dowie... Nieskończył zdania i grube łzy spłynęły po jego twarzy.

Nadzieja we mnie nie zachwiała się ani na chwilę. Patrzę bez ustanku na morze, którego pustynia nie jest w stanie zachwiać mojej wiary. Z największą pewnością jutro ujrzymy ziemię lub żagiel. Robert Kurtis, miss Herbey, Falsten, nawet bosman, nie spuszczają oczu z morza. Pomimo to noc zapadła. Usypiam przekonany, że podczas ciemności zbliży się ku nam okręt i przy brzasku dnia ujrzy nasze sygnały wzywające ratunku.

LV.

27 stycznia. Nie mogłem zmrużyć powiek ani na chwilę. Słuchałem najlżejszego szmeru, plusku wody, szumu bałwanów. Zauważyłem, że naokoło tratwy nie ma ani jednego rekina. Co za szczęśliwa przepowiednia. Księżyc wszedł o trzy kwandranse na pierwszą, ukazując wązki sierp, a jego blask słaby niepozwala widzieć co się na morzu dzieje. Wieleż razy w nocy zdawało mi się, że spostrzegam upragniony żagiel. Już dzień! Słońce weszło nad pustem morzem. Okropna chwila zbliża się. Nadzieje moje ulatują. Okręt nie ukazał się, ziemi także nie widać. Powróciłem do rzeczywistości i przypominam sobie że to jest właśnie chwila, w której ma się wykonać straszliwa ofiara. Nie śmiem spojrzeć na skazanego i wielekroć oczy jego zwrócą się na mnie, muszę natychmiast odwrócić swoje. Zgroza niewypowiedziana ścisnęła pierś moję, w głowie mi się kręci jak pijanemu. Już szósta rano! Przestałem wierzyć w pomoc Opatrzności. Serce bije więcej niż sto uderzeń na minutę, całe zaś ciało mam zlane zimnym potem. Bosman i Kurtis stoją wsparci na maszcie, przebiegając oczami Ocean. Na bosmana strach patrzeć. On nie uprzedzi godziny, ale też nie pozwoli jej opóźnić. Nie mogę zgadnąć co myśli kapitan. Twarz jego jest tak blada, że wydaje się trupem z patrzącemi oczami. Majtkowie, pełzają po platformie, pożerając oczami ofiarę. Nie mogąc ustać na miejscu, uciekłem aż na przód tratwy. Bosman odwrócił się ku tyłowi tratwy, mówiąc:—Nakoniec!

Wyraz ten uderzył mię jak piorun. Majtkowie zbliżyli się ku tyłowi tratwy, cieśla w ściśniętej konwulsyjnie dłoni trzyma topór!

Panna Herbey krzyknęła przeraźliwie. Nagle Andrzej powstał.

— Jak to? mój ojciec... zawołał stłumionym głosem.

— Los padł na mnie, odpowiedział pan Letourneur.

Andrzej porwał ojca i otoczył ramionami.

— Nigdy! zawołał, mnie zabijcie raczej! Zabijcie mnie! To ja rzuciłem ciało Hobbarta w morze! Mnie! mnie! powinniście zamordować!

Nieszczęśliwy! jego słowa podwoiły wściekłość katów.

Daulas oderwał go od pana Letourneur, mówi: „dosyć tych ceremonij.“

Andrzej upadł w znak, a dwaj majtkowie skrępowali go tak, że nie mógł się ani ruszyć.

Jednocześnie Burke i Flaypol pochwyciwszy ofiarę, pociągnęli ją na przód tratwy.

Okropna ta scena odbyła się prędzej niż ją tu opisałem.

Zgroza przykuła mię do miejsca! Chciałem

się rzucić pomiędzy pana Letourneur i jego katów, ale sił mi zabrakło. W tej chwili pan Letourneur odepchnął majtków, którzy już zdarli z niego część ubrania.

— Wstrzymajcie się chwilę, rzekł głosem w którym przebijała niepokonana energia, jedną tylko chwilę. Nie chcę wam ukraść waszej porcyi. Wszakże całego dzisiaj mnie nie zjecie!

Majtkowie wstrzymali się spoglądając w osłupieniu, pan Letourneur mówił dalej:

— Jest was dziesięciu, wszak moje dwie ręce na dziś wam wystarczą. Jutro weźmiecie resztę.

Letourneur wyciągnął dwie ręce obnażone.

— Niech i tak będzie, krzyknął okropnym głosem cieśla Daulas, i szybko jak błyskawica podniósł topór.

Kurtis nie mógł patrzeć na to dłużej. Ja także. Nie, póki żyć będziemy nie pozwolimy na podobną rzeź! Kapitan rzucił się pomiędzy majtków, ażeby im wydrzeć ofiarę. Skoczyłem między walczących, ale jeden z majtków, gwałtownie mnie popchnął, że wpadłem w morze... Zamknąłem usta, ażeby skończyć prędzej. Duszenie się jednak przezwyciężyło siłę mojej woli. Przez na wpół otwarte usta wpłynęło kilka kropli wody.

Boże przedwieczny!!... Słodka woda!

LVI.

27 stycznia, ciąg dalszy. Piję! piję! odradzam się! życie wróciło we mnie! Nie chcę umierać.

Krzyknąłem. Usłyszano mój krzyk. Kurtis rzucił mi linę, którą pochwyciłem. Wspiąłem się znów wpadłem na tratwę.

Pierwsze moje słowa były:

— Słodka woda!

— Słodka woda! zawołał Kurtis, ziemia jest tam!

Morderstwa dotąd nie spełniono. Kurtis i Andrzej bronili dotąd Letourneura przeciw ludożercom, i w chwili kiedy mieli sami uledz przemocy usłyszano mój głos.

Walka wstrzymała się. Powtarzam ciągle:

— Woda słodka! i przechylając się po za tratwę piję chciwie wielkiemi łykami!

Miss Herbey pierwsza poszła za moim przykładem. Robert Kurtis, Falsten i inni rzucili się ku temu źródłu życia. Każdy toż samo robi. Otóż ludzie którzy przed chwilą byli drapieżnemi zwierzętami, wznoszą teraz ręce ku niebu. Majtkowie na klęczkach żegnając się wołają, że cud się zjawił. Po wściekłości nastąpiło rozrzewnienie.

Andrzej i ojciec jego, ostatni dopiero naśladowali nas!

— Ale gdzież jesteśmy, zawołałem.

— O dwadzieścia mil niespełna od lądu! odpowiedział Robert Kurtis.

Spojrzeliśmy na niego, czy kapitan oszalał? Lądu nigdzie ani śladu, tratwa znajduje się jak zwykle w środku poziomu!

A jednak woda słodka! odkąd nic nas to nie obchodzi? Zmysły nas nie oszukały i pragnienie ugasiliśmy zupełnie.

— Tak, ziemi nie widać, ale jest tam! rzekł kapitan wskazując ręką na zachód.

— Jaka ziemia, spytał bosman.

— Ameryka! Ziemia gdzie płynie Amazonka, jedyna rzeka, której prąd jest tak silny, że osładza wodę Oceanu na dwadzieścia mil od ujścia!

LVII.

27 stycznia, dalszy ciąg. Robert Kurtis widocznie się nie mylił. Ujście Amazonki, która wrzuca w morze 21,400 metrów kubicznych na godzinę jest jedynem miejscem na Antlantyku, gdzie moglibyśmy dostać się do słodkiej wody. Ziemia tam jest! Czujemy ją! Wiatr przynosi nam jej zapach!

W tej chwili, głos miss Herbey wzniósł się ku niebu w pieśni dziękczynnej, do której i my przyłączyliśmy nasze błagania.

Andrzej Letourneur trzyma ojca w objęciach, na przodzie zaś tratwy wszyscy stojemy spoglądając za zachód.

W godzinę później Kurtis zawołał: Ziemia!...

Skończyłem nareszcie ten dziennik, w którym z dnia na dzień notowałem wypadki. Przybycie nasze na ląd potrzebowało kilka godzin, ale w paru słowach go opowiem. Tratwę około jedenastej rano na przeciwko Maguri na wyspie Marajo napotkali litościwi rybacy którzy nas nakarmili. Następnie zaś zawieźli nas do Para, gdzie byliśmy przedmiotem najtroskliwszych starań. Tratwa przybiła pod 0°,12′ szerokości północnej, została więc odrzucona o 15 stopni od dnia, w którym opuściliśmy okręt. Zdaje się jednak, że byliśmy daleko więcej na południe rzuceni, następnie zaś prąd Gulf-streamu uniósł nas aż do ujścia Amazonki, gdyby nie to bylibyśmy zgubieni. Z trzydziestu dwóch osób które wsiadły na Chancellora t. j. 9 pasażerów i 23 marynarzy, pozostało 5 pasażerów, i 6 marynarzy, razem osób jedenaście. Protokuł wylądowania ułożony przez władze brezylijskie podpisali: miss Herbey, J. B. Kazallon, Letourneur ojciec, Andrzej Letourneur, Falsten, bosman, Daulas, Burke, Flaypol, Sandon i Robert Kurtis kapitan.

W Para ofiarowano nam natychmiast środki powrócenia do kraju. Okręt żaglowy zawiózł nas do Kajenny, gdzie dostaniemy się do linii transatlantyckiej francuzkiej Aspinval, której parowiec „Miasto Nazaret“ zawiezie nas do Europy.

Cóż dziwnego że po tylu próbach, po tylu niebezpieczeństwach, cudem prawie ocaleni, związaliśmy się wszyscy pasażerowie Chancellora najserdeczniejszą przyjaźnią. Wzajemnie wiecznie pamiętać się będziemy.

Miss Herbey chciała usunąć się od świata i poświęcić życie pielęgnowaniu tych którzy cierpią.

— Przecież i mój syn jest chory, rzekł do niej p. Letourneur.

Miss Herbey w tej chwili ma ojca w panu Letourneur a brata w Andrzeju. Niezadługo jednak w nowej rodzinie ta dzielna i piękna kobieta znajdzie szczęście na które zasługuje i którego serdeczne życzenie przesyłamy jej z daleka.

KONIEC.

Korespondencya Opiekuna Domowego.

Poznań, w kwietniu 1876 r.

W przeszłej mojej korespondencyi wynudziłem was porządnie szanowni czytelnicy sprawozdaniami liczbowemi. Ale cóż robić! Liczby są to najwymowniejsze wyrazy, nawet często w najpoetyczniejszych zachwytach, jak to młodzi i starzy czytelnicy i czytelniczki, mający np. zamiar wstąpić w święte związki małżeńskie, „pod sekretem“ przyznać raczą. W niniejszej jednak korespondencyi uprzedzam was, nie będę używał tych „wymownych wyrazów“ bo ze sprawozdaniami dorocznemi naszych towarzystw prawie już skończyliśmy. Pozostaje nam tylko tutaj jeszcze wspomnieć o sprawozdaniu z czynności tow. literacko-słowiańskiego w Wrocławiu, tow. literacko-rolniczego akademików Polaków w Proszkowie i tow. literacko-rolniczego w Żabikowie.

Pierwsze z nich t. j. literacko-słowiańskie we Wrocławiu w półroczu zimowem 1875/6 r. liczyło w ogóle członków 41, posiedzeń odbyło towarzystwo zwyczajnych 14 i 1 w rocznicę śmierci Mickiewicza. Rozpraw czytanych przez członków było 10 przeważnie treści historycznej i z literatury polskiej. Biblioteka tow. liczy obecnie 1638 dzieł.

O dwóch drugich t. j. o tow. w Proszkowie i Żabikowie wspominamy głównie dla tego, ażeby zaznaczyć choć jakikolwiek ślad życia *młodzieży*. Towarzystwa te bowiem mają zakres bardziej miejscowy i specyalny niż ogólnej doniosłości. I jedno i drugie wyłącznie składa się ze studentów wyższych zakładów naukowych rolniczych.

Tow. literacko-rolnicze w Proszkowie liczyło w półroczu zimowem 1875/6 r. członków zwyczajnych 29, honorowych 40; posiedzeń odbyło tow. 16. Rozpraw było czytanych 14 treści prawie wyłącznie rolniczej, a w części tylko ekonomicznej; księgozbiór tow. liczy 680 dzieł.

Tow. literacko-rolnicze w Żabikowie liczyło w tym czasie członków czynnych 12, honorowych 9; posiedzeń tow. odbyło się 17. Rozpraw było czytanych 6 treści rolniczej i ekonomicznej; księgozbiór składa się z 275 dzieł. Powiedziałem że podaję te sprawozdanie dla zaznaczenia jakiegokolwiek śladu życia *młodzieży*. Rzeczywiście bowiem nasza tutejsza młodzież jest zdaje się tylko czynną albo w codziennej pracy na kawałek chleba dla siebie, albo rozwija swoją działalność... na froterowanej posadzce. Tyle tu stowarzyszeń rozmaitych w których tyle pola do pracy zbiorowej, tyle sposobności do wystąpienia na szerszą arenę życia publicznego, taka wreszcie potrzeba pracowników na niwie wspólnej, na niwie narodowej!... A pomimo to wszystko, młodzież nasza albo przepędza przyjemnie czas na zabawach, albo gnuśnieje gdzieś w kącie w parafiańskiem życiu, albo w najlepszym czy najgorszym razie przepędziwszy lat kilka na uniwersytecie powraca albo i niepowraca do rodzinnej ziemi; w każdym razie ostyga dla spraw swego społeczeństwa, i nieznacznie, niby niechcący sta-

e się napół synem potężnej Germanii. Smutne a jednak prawdziwe. Zdaje się że w Poznańskiem ludzie urodzeni dajmy na to po roku 1845 niepodochodzili jeszcze do pełnoletności, tam bowiem gdzie tylko trzeba robić i myśleć na seryo i zbiorowo, jak np. w towarzystwach: gospodarskiem, ludowej oświaty, pomocy naukowej, przyjaciół nauk i t. d. i t. d., tam widzimy ludzi którzy najmniej już czwarty krzyżyk zaczęli, lub którzy, co zresztą rzadko, trzeci kończą. Cały ciężar społecznej machiny spoczywa tutaj na barkach, które już nie jeden ciężar dźwigały. Co będzie gdy tym zabraknie już sił... Źle, może z wiekiem przyjdzie poczucie obowiązku. Piwo działa usypiająco i odurzająco, ale tylko z początku... Ale zapomnijmy na chwilę o tym smutnym objawie martwoty młodzieży, a zobaczymy lepiej co starsi robią.

W dniu 20 marca odbyło się zwyczajne posiedzenie wydziału historycznego tow. przyjaciół nauk; na niem przedewszystkiem przyszło pod obrady sprawozdanie komisyi mającej na celu przedstawienie środków, jakiemiby towarzystwo poprzeć mogło wydawnictwo następujących dzieł ks. Fr. Malinowskiego: gramatykę sanskrycką, której trzy części drukiem już ogłoszone, gramatykę starosłowiańską, gramatykę języka ruskiego, słownik i gramatykę języka litewskiego. Wydział pomimo uznania ważności tych dzieł nie tylko pod względem naukowym, ale także jako mających jeszcze szersze znaczenie bo łączących na polu językowem trzy ludy, funduszem swoim przyjść w pomoc nie mógł, lecz tylko postanowił znieść się z innemi instytucyami polskiemi i w ogóle słowiańskiemi w celu pobudzenia ich do czynnego poparcia wydawnictwa rzeczonych dzieł i rozpowszechnienia. Na tymże posiedzeniu odczytaną została druga część rozprawy p. Ludwika Żychlińskiego „o darwinistach niemieckich.“ Na przyszłem posiedzeniu dr. Szuman odczyta: „O życiu i pracach ś. p. Karola Libelta.“

Przy tej sposobności przychodzi nam zanotować nową bolesną stratę jaką Poznańskie poniosło w osobie ks. Fr. Bażyńskiego, zmarłego w dniu 11 marca. Ś. p. Franciszek zasłużył się jako niezmordowany krzewiciel oświaty narodowej pomiędzy ludem. Ur. 1801 r. Cześć jego pamięci! Pracowników nam ubywa: starzy oczy zamykają a młodzi otworzyć jakoś nie mogą. Z zamkniętemi oczami oddajemy ziemię niemcom, z zamkniętemi oczami ustępujemy im swoje korzyści, z zamkniętemi oczami wreszcie wyzuwamy się z praw nam przynależnych. Oto przykład: do tej pory urzędowym językiem obok niemieckiego w ks. Poznańskiem i w innych prowincyach jak na Szląsku, na Pomorzu, gdzie ludność była polska, był język polski. Teraz dopiero roztrząsa się projekt w parlamencie znoszący język polski. Spodziewacie się zapewne czytelnicy, żeśmy do tej pory jak najzupełniej korzystali z prawa, które nam przysługiwało względem języka. Rzecz to zdaje się bardzo naturalna i prosta. A jednak... jednak ze wstydem przyznać się musimy — używaliśmy zwykle języka niemieckiego! Teraz dopiero ocknęliśmy się i przypomnieli że my mamy także swój własny język, ale to powiadam teraz, jak go niemiecki ma w użyciu publicznem zastąpić (w szkołach średnich a nawet ludowych język wykładowy jest już niemiecki). Teraz setki petycyj opatrzonych tysiącami podpisów posyłamy do sejmu, z prośbą ażeby nam nie robiono tej krzywdy, a Niemcy powiadają: że to nie jest żadna krzywda. Nigdy tu nikt prawie do nieznajomego nie odezwie się wprzódy inaczej jak po niemiecku, a często nawet się zdarzało że Niemcowi któren się odezwał po polsku, odpowiadaliśmy po niemiecku „przez grzeczność.“ Najwięcej na tej reformie ucierpi lud, bo ten po większej części nie umie po niemiecku. To też lud ten bardzo wziął tę sprawę do serca, urządza wiece, pisze i posyła petycye. Za grzech by sobie uważał każden prawie niepołożenie podpisu swego pod petycyą.

Wróciwszy z szerszej widowni działalności naszej społecznej „na dobie“ mamy jeszcze cośkolwiek powiedzieć o życiu *postnem* naszego grodu. Po skończonych posiedzeniach walnych rozmaitych towarzystw, zaczęły się odczyty publiczne, już to za staraniem towarzystw „Stella“ i „Przemysłowców,“ już to osób pojedyńczych. Do tej pory mieliśmy już kilka a między innemi: ks. Chotkowski miał „o Sewerynie Goszczyńskim,“ p. dr. Lesser „krytyczny pogląd na komunizm i socyalizm,“ p. Wagner „o Hansie Chrystyanie Andersonie i jego dziełach,“ ks. Tłoczyński „o materyach eksploatujących,“ p. Kasztelan „o perłach i bursztynie.“ Nadto dane były na dochód dotkniętych pożarem w mieście Odolanowie dwa przedstawienia amatorskie, które się udały bardzo dobrze, lecz niewiele przyniosły zysku, bo niewielu było widzów! Warszawianie nieuwierzą temu.

Trupa pp. Doroszyńskiego i Terenkoczego udaje się na lato do Warszawy i osiądzie podobno w Eldorado. Nasz bowiem Poznań na lato tak się wyludnia szczególniej z publiki mogącej pozwolić sobie w lecie na jaką taką przyjemność, że — teatr przez ten czas utrzymać się bez subwencyi — nie jest w stanie. Teraz bawi u nas p. Ładnowski znakomity tragik ze Lwowa.

KOREPETYTOROWIE

w naszem wychowaniu młodzieży męzkiej.

Skoro chłopiec dobiega lat 10-ciu i rodzice zaczynają o tem myśleć, jakby go po wstępnem, pieszczotliwem, często skrzywionem lub dość niedołężnem wychowaniu domowem wsunąć do klasy pierwszej szkół rządowych a ostatecznie i prywatnych, przychodzi zaraz drugie bardzo ważne zadanie, jakby mu wynaleść dobrego i odpowiedniego korepetytora. Posadzenie bowiem przy chłopcu pierwszego zaraz dnia, skoro z klasy do domu przyjdzie, korepetytora, uważanem jest przez ogół rodziców za rzecz niezbędną i nieuchronną. Korepetytor taki ma bowiem wszystko uzupełnić, co chłopiec słyszał a nawet czego nie słyszał ale powinien był w szkole słyszeć i to nie tylko pod względem zewnętrznego porządku, ale nawet i w intelektualnym kierunku. Bo to wszystko biegły korepetytor znać i wiedzieć powinien. Stąd też wynalezienie odpowiedniego i doskonałego korepetytora uważanem jest za rzecz nie łatwą a przecież głównie decydującą o pomyślnem powodzeniu i postępach synka w klasach. Praca, zdatność pedegogiczna, doświadczenie nauczyciela nabyte latami praktyki, nie wchodzą prawie wcale w rachubę przy ocenie postępów szkolnych ucznia. Ile to razy dało nam się słyszeć w życiu, jeżeli ojcu któremu lub matce robiono uwagę, że synalek się opuszcza, źle prowadzi i w ogóle nic nie robi. „Panie, ja mam *znakomitego* korepetytora, to jest *nieoszacowany* człowiek, *złotem* nie opłacony,“ i tym podobne pod niebiosa sięgające pochwały, były zwykłą ze strony zagadniętych rodziców odpowiedzią. Albo też znowu: „Ach, jakże ten człowiek (korepetytor) mnie zawiódł, ja jemu tak drogo płacę, zupełne w nim położyłem zaufanie, a oto bieda, dowiaduję się, że chłopiec nic się nie uczy.“

Jednem słowem uczy się chłopiec i dobre robi postępy, żadna stąd nie wynika chluba dla nauczyciela, chłopiec nic się nie uczy, rozpróżniaczył się, to znowu żadnej ujmy nauczycielowi nie robi, bo za *wszystko stoi* i za *wszystko odpowiada* korepetytor.

Skąd się wzięła instytucya, która tak stoi na zawadzie umysłowemu rozwijaniu się chłopców i ich samodzielnej pracy, jako też wyraz, o który, mimo tyloletniego i już na prawnuków przechodzącego używania, łamie się i kaleczy język polski. Wyraz i instytucya przeniesione są żywcem z Francyi, jak tyle innych niedorzeczności w wychowaniu, życiu, ubiorze, zwyczajach i obyczajach. Przynieśli ją oczywiście panowie, ale z czasem przez zbieg niefortunnych okoliczności tak się rozwielmożyła w naszem wychowaniu, że nawet najbiedniejszych rodziców dziecko, bez niej obejść się nie może czyli nie potrafi.

Mieć korepetytora dla swych dzieci należy do dobrego tonu, tak jak np. mieć służbę w liberyi lub jeździć powozem a nie dorożką. Mania ta ogarnęła u nas cały ogół tak dalece, że nawet uczniowie najbiedniejszych rodziców, do jakich np. zaliczamy synów stróży, i ci, jeżeli się czasem dostaną do szkół rządowych, mają swych korepetytorów. Ciekawe w tym względzie robią się niekiedy spostrzeżenia.

Nie jest i nie powinno być rzeczą nauczyciela dopytywać się o stan i położenie rodziców uczni, lecz czasami mimo woli to się dzieje, lub okoliczność wywołuje. Ubiór, maniery, a częstokroć i wyrażenie się, okazują chłopca pochodzenia nizkiego. Jeżeli się zdarzyło, że chłopiec taki nie umiał lekcyi lub nie miał zrobionych ćwiczeń piśmiennych, a zagadnęło go się: „dla czego nie umiesz lekcyi,“ lub „dla czego nie masz zrobionego ćwiczenia?“ „Bo, proszę pana profesora, *mój* korepetytor wczoraj nie przyszedł, bo zachorował,“ i tym podobne następowały korepetytorskie wybiegi. W takim razie, patrząc na chłopca, następowało zapytanie: „Co jest twój ojciec?“ Chłopiec stoi, patrzy, rumieni się, widocznie odgrywając rolę niemego, chce coś powiedzieć, ale mu wyraz utkwił na języku i dławi go, aż

mu jego usłużni koledzy przychodzą w pomoc, krzyknąwszy dziarsko: „stróżem, panie profesorze.“ Trzeba bowiem wiedzieć, że u nas jeszcze do dziś dnia uczniowie szkolni, jeżeli ojciec nie jest urzędnikiem a choćby *urzędniczkiem* najniższej klasy, wstydzą się powiedzieć publicznie stanu swych rodziców. Jeżeli ojciec jest szewcem, krawcem, kowalem i tym podobnym poczciwie na chleb pracującym rzemieślnikiem, to syn jego w klasie zapytany o stan swego ojca, równie będzie się dławił, jak ów syn stróża.

Innym znowu razem, gdy również innemu chłopcu korepetytor nie dopisał i ten nie przygotowany przyszedł na lekcye, układ zaś jego i cała zewnętrzność także kazały się domyślać gminnego pochodzenia, i gdy takie samo dało mu się zapytanie, chłopiec z bardzo smutną minką odpowiedział: „Mój ojciec już nie żyje, mam tylko matkę.“ „A ta czem się trudni?“ „*Szyciem* lub *praniem*“ była odpowiedź biednego chłopczyny. „Jak to i ty masz korepetytora?“ „Tak, proszę pana profesora.“ „A ileż mu matka płaci?“ *Dwa, trzy*, a czasami była odpowiedź, że i *cztery* ruble. Biedne matczysko po całych dniach i nocach szyje, pierze, prasuje, a przytem wszystkiego sobie i dziecku odmawia, ale korepetytora płaci, bo wszyscy go płacą i jest tego przekonania, że jej syn, tak jak bez munduru, tak i bez korepetytora do szkół chodzić i postępów robić nie może. A wreszcie każdy, choćby najbiedniejszy ojciec lub matka karmią się tą błogą nadzieją, że ich syn, dopłynąwszy szczęśliwie do klasy V, a co więcej VI-ej, wszystkie te korepetytorskie wydatki na innych odbije. Koniec końców, począwszy od dzieci w pałacach mieszkających, aż zeszedłszy do owych, których rodzice mieszkają pod schodami, wszyscy się bawią w korepetytorów.

Korepetytorowie rekrutują się z różnego stanu i wieku. Począwszy już od gimnazyasty klasy IV-ej, idzie się coraz wyżej przez całe gimnazyum, następnie wszystkie kursa uniwersytetu a kończy się na aplikantach i drobnych urzędnikach różnych biór, którzy albo wcale płacy nie pobierają albo tak małą, że z niej wyżyćby nie mogli, i są przymuszeni różnemi pobocznemi dochodami niedobór swego budżetu pokrywać. I co jest najdziwniejszą rzeczą to to, że wszyscy w rzemiośle nauczania posiadają nadzwyczajną biegłość! Ale dajmy temu pokój.

Korepetytorowie dzielą się na dwie kategorye: na takich, którzy przyjmują zobowiązanie odsiedzenia przy swoim dyscypulusie umówiony czas, i znowu na takich, którzy obowiązują się czuwać nad odrobieniem, ewentualnie zrobieniem samemu swemu pupilowi wszystkich prac szkolnych, bez względu na czas na to zużyty.

Obowiązkiem pierwszych jest, stosownie do umowy z rodzicami zawartej, przesiedzieć przy swym wychowańcu, godzinę, dwie a nawet i trzy, porobić mu lub z nim (co na jedno wypadnie) pismienne lekcye, a *ustne tak długo z nim powtarzać*, aż tenże mniej więcej dokładnie na pamięć się ich wyuczy, iżby je mógł na drugi dzień w klasie w obec swego profesora, gładko i bez zacięcia się na *piątkę* czyli na ów powszechny *celujący* wyrecytować. Po domniemanem zaś odrobieniu ćwiczeń i wyuczeniu swego studenta pamięciowego powtarzania lekcyi, resztę pozostałego czasu wypełniają gawędkami i tym podobnemi do nauki nie odnoszącemi się zajęciami.

Obowiązkiem kategoryi drugich jest przyjść wprawdzie codziennie, i ile możności także w oznaczonym czasie, ale bez obowiązku przesiedzenia tyle a tyle godzin. Ci zwykle, przyszedłszy, pytają się: „Co macie zadane,“ a dowiedziawszy się o mającem być odrobionem pensum, starają się jak najprędzej z tem się załatwić, ustne zaś parę razy powtórzyć; ale jeżeli natrafią na leniwego ucznia, któremu się nie chce ani repetować, ani tyle przesiedzieć, aby mu piśmienne prace jego domowy praeceptor choć pobieżnie porobił, powiadają zwykle: „Dziś nie mamy nic zadane, a tylko powtórzenie dawnego.“ Powtarzać nie ma co, boć przecież już poprzednio się powtarzało, więc korepetytor kontent, że dopełnił obowiązku i ostrzelawszy plac, uchodzi co żywo, bo go może jeszcze jedno lub dwa podobne mozolne zajęcia czekają, które mu czas marnują i życie zatruwają; ale cóż robić, kiedy taka już jest dola korepetytorskiego chleba.

Staraliśmy się dotąd dać żywy obraz korepetytorów i ich zajęć; w dalszym ciągu naszej rozprawy będziemy się starali wykazać, jakie skutki stąd wynikają dla rozwoju umysłowego uczącej się młodzieży, i że ta nie tylko bardzo dobrze obejść się może bez korepetytorów, ale nawet powinna.

Dwa są kardynalne prawa, które wielkiemi głoskami należałoby uczniom nadedrzwiami przybytku nauk wypisać: *posłuszeństwo* i *uwaga szkolna*. Ponieważ dwie te cnoty chodzą z sobą w parze, a traktowanie o drugiej potrzebne nam jest do rozwiązania naszego zadania, przeto pomówmy cokolwiek obszerniej o obydwóch.

Pod posłuszeństwem szkolnem nie rozumiemy tu owego ślepego, niewolniczego posłuszeństwa, bezmyślnego poddawania woli swojej pod wolę obcą, wywołanego zwyczajnie postrachem, lecz owo posłuszeństwo polegające na moralnych warunkach, wynikające z duchowego przekonania i dobrej woli dziecka. Bo jeżeliby wychowawca wymógł na młodzieńcu tylko chwilowe, zewnętrznemi wpływami wywołane posłuszeństwo, a nie wynikające z wewnętrznych, moralnych pobudek, to uczeń tak długo i tak daleko tylko będzie posłuszny, jak daleko i jak długo owe zewnętrzne wpływy będą na niego działały. Że wychowanie w posłuszeństwie i przyzwyczajanie wychowańca do tegoż, stanowi bardzo ważną chwilę w kierowaniu nim, wynika już stąd, że posłuszeństwo winien spełniać względem familii, szkoły, kościoła, państwa i społeczeństwa w którem żyje. Rodzina, kościół, gmina, państwo są to powagi, względem których człowiek w różnych stadyach wieku i życia ma zobowiązania do spełnienia. Z tego punktu zapatrywania się jest rzeczą nadzwyczajnie ważną, aby wychowaniec już od młodości był prowadzony do posłuszeństwa a przedewszystkiem szkolnego, które mu znowu ma wpoić to przekonanie, że posłuszeństwo jest nie więcej nie mniej, jak spełnieniem obowiązków względem otaczającego go społeczeństwa, — bo w życiu praktycznem co chwila będzie się musiał spotykać z jakiemiś powagami, z któremi przyjdzie mu się rachować.

Najpierwszą taką powagą, z jaką dziecko, opuściwszy dom rodzicielski spotyka się, jest powaga szkolna. Ze względów więc wyżej powiedzianych, szkoła, wychowanie, wszelkiemi sposobami na wychowańca czy to wychowanicę wpływać powinna, aby w podrastającem pokoleniu wyrabiać pojęcie obowiązku, posłuszeństwa względem swej bezpośredniej władzy, pod jaką zostaje, t. j. władzy szkolnej. Upór i samowola są to dwie niebezpieczne wady, które się w młodzieńcu bardzo często pojawiają; niczem zaś lepiej i radykalniej nie dadzą się złamać, jak przez naginanie do posłuszeństwa opartego na wyższej powadze i moralnem przekonaniu.

Przepraszamy za zbyt może długi traktat o posłuszeństwie, które na pozór zdawałoby się nie stać w związku z naszem zadaniem, lecz mówiąc obszerniej o jednem, nie moglišmy zbyć paru słowami drugiego; zresztą mówimy o wychowaniu, a niedostateczne prowadzenie strony męzkiej do posłuszeństwa jest jedną z bardzo wadliwych stron wychowania, zwłaszcza domowego. Odbija ono się także nie mało w szkole.

Drugiem kardynalnem prawem szkolnem i podstawą przy nauczaniu jest *uwaga*. Jak tamto działa umoralniająco na umysł wychowańca, tak ta otwiera mu szerokie pole do wiedzy i uzdatnienia moralnego. Bez uwagi silnie zwróconej na przedmiot, który nauczyciel objaśnia i tłómaczy, uczeń nie odniesie z lekcyi żadnej korzyści. Uwaga zaś wzbudza się w uczniu przez zainteresowanie go przedmiotem i wzbudzenie w nim zamiłowania ku niemu. Jeżeli wychowawcy uda się na tym punkcie z powodzeniem działać, nauka i rozwijanie się umysłowe ucznia pójdzie pomyślnie. Bo jeżeli uczeń zainteresuje się przedmiotem i nabierze ku niemu pociągu, tedy sam przez siebie uczuje zachętę i zwróci na przedmiot uwagę. Gdzie wewnętrznego popędu ku wznieceniu uwagi brakuje, tam zewnętrzne środki nie wiele poskutkują; mogą one być tylko środkami pomoczniczemi, ale nigdy same nie wywołają i na długo nie podtrzymają uwagi.

Otóż brak tej drugiej kardynalnej cnoty i podstawy szkolnej, niezbędnej do pomyślnego robienia postępów w naukach, głównie podtrzymywany jest potrzebą zastąpienia jej w domu korepetytorami. Dawniej nawet w cenzurach szkolnych nie mieściła się rubryka dla zanotowania uwagi ucznia w klasie. Brak ten spostrzegamy usuniętym dopiero od niespełna dwóch lat.

Przy dzisiejszym składzie klas po szkołach rządowych, gdzie tylko po 40 uczniów w jednej sali prawie może być pomieszczonych, da się łatwo i karność i spokojność utrzymać i uwagę uczniów na nauczany przedmiot skierować i podtrzymać. Dla czegóż wszakże system korepetytorski przy tak korzystnych warunkach szkolnych kwitnie i w dalszym ciągu? Bośmy już do niego nawykli, z nim zrośli, w nim się wychowali i zdaje nam się, że tak najlepiej i inaczej być nie może. Przez

wzwyczajenie stał nam się niejako drugą naturą.

Jakież stąd wynikają ujemne strony wychowania? Oto te, że uczeń lekceważy sobie wykład nauczyciela, nie stara się ująć myślą jego tłómaczeń i objaśnień, uwagę na przedmiot odkłada na drugi plan, i wtenczas, gdy powinien najbardziej uważać, t. j. kiedy inny uczeń lekcyę wydaje, albo *wcale nic* albo *mało* uważa, zajmując się albo tem, czem się zajmować nie powinien, lub rozmową i tym podobnemi wybrykami przeszkadza nauczycielowi i innym, którzyby może mieli chęć i chcieli uważać. Zresztą pocóż koniecznie ma przez cztery a może pięć godzin w klasie swe myśli natężać i starać się zrozumieć tłómaczenia i objaśnienia nauczyciela, kiedy wie, że w domu czeka na niego korepetytor, który mu to wszystko *jaśniej* i *zrozumialej* (według jego pojęcia) wytłómaczy, piśmienne prace porobi i w dodatku pomoże mu się wszystkiego na pamięć wyuczyć, czyli mówiąc językiem szkolnym *wykuć*. Do owego *kucia* doprowadzani są nasi uczniowie do znakomitej wprawy. Ale niestety! im bardziej ucznia do takiego *wykuwania* doprowadzamy, tym więcej jego rozum, myślenie i sąd rzeczy *zakuwamy*. Jest nawet w pedagogice naszej nowoczesnej wyrażenie *zakuta głowa!* a czemże mu tak tę głowę zakuto, jeżeli nie przez ów nieszczęsny system korepetytorski. To bezmyślne wyuczanie się wszystkiego na pamięć, traktowane od samego początku, postępuje coraz dalej i dopiero we wyższych klasach cokolwiek się zaciera.

Toby było jedno złe, ale drugie daleko może gorsze jest to, że uczeń od samej młodości przywyka rachować na kogoś, polegać na kimś, na obcej pomocy, zamiast rachować tylko na siebie i na swoje własne siły. Odwyka od gruntownej i mozolnej pracy, z czego wyradza się słabość ducha, lekkomyślność, brak odwagi i zaufania do siebie samego, brak wytrwałości w pracy umysłowego zajęcia. A ile to warte owo silne wyrobienie tych wszystkich odcieni ducha i charakteru w przyszłem, poza szkolnem, praktycznem życiu. Brak wytrwałości i hartu duszy ma być nawet cechą naszego charakteru; jest to zarzut, który my może mniej czujemy; ale który nas bardzo często spotyka od obcych. Jeżeli nam w samej rzeczy brak owej wytrwałości, to bodajby czy nie wypływa on raczej z wychowania, a nie z przyrodzonych własności naszego ducha. Takim jest naród, jakim go się wychowa.

Ponieważ byliśmy zawsze przeciwni owej korepetytorskiej pomocy, dowodząc rodzicom, ile razy nam się to zdarzyło, że chłopiec powinien sam pracować, bo od tego jest nauczyciel, żeby mu w klasie wszystko jasno wytłómaczył, zwykle odbieraliśmy odpowiedź, że ich synek musi mieć korepetytora, bo sam sobie mimo uwagi i pilności rady dać nie może. Jeżeli w samej rzeczy przy uwadze w klasie i pilności domowej chłopiec nie może podołać zadawanym lekcyom, to albo jest bez wszelkiej zdatności, albo był niedostatecznie przygotowany do klasy, do której się dostał. W takim razie niech siedzi drugi rok w tej samej klasie, ale niech się uczy od samego początku chodzić o własnych siłach, nie zaś na *pasku* korepetytorskim, a niezawędnie w drugim roku, jeżeli nie jest *bez zupełnej* zdatności, rozjaśni mu się w głowie i wydoła pracom szkolnym.

Jak to, powie może kto, to tak mało ceni się czas, że rok nic nie znaczy! Owszem każdy rok, co mówimy, każdy dzień stracony marnie i na próżniactwie po skończeniu lub opuszczeniu szkół, jest stratą nieocenioną i niepowetowaną, zwłaszcza dla młodego człowieka, ale nigdy nie nazwiemy przydłuższe siedzenie na ławkach szkolnych, czasem straconym. Wielu, prawie ogółowi rodziców chodzi o to, żeby chłopiec nie stracił w szkole roku, dwóch a choćby i trzech lat, a nie żałują i nie cenią tego czasu, który traci napróżno po opuszczeniu szkół, marnując w gnuśnej bezczynności i próżniactwie nie tylko dnie i miesiące, ale cały szereg lat. Rzadko w którem mieście wielkiem, do jakich się nasz gród zalicza, tyle jest wałęsającej się po całych dniach bezczynnie młodzieży, która niczego się w szkołach nienauczywszy, do żadnego mozolniejszego i poważniejszego zajęcia nie nawykłszy, nawet wstręt do pracy mająca, marnuje lekkomyślnie zdrowie i grosze i owe najcenniejsze dary, jakie jej Stwórca udzielił t. j. *wrodzone zdolności* i siły młodzieńcze.

Obdarzył Pan Bóg naród nasz niepospolitemi siłami ducha i przymiotami ciała, które nie zawsze na dobre i ku szlachetnym celom obracamy. Na poparcie naszego twierdzenia przenieśmy się na chwilkę do szkół w Poznańskie, a spotkamy się tam z następującem uderzającem zjawiskiem pedagogicznem.

W szkołach tamtejszych po miastach, które mają tylko jedno gimnazyum lub jednę szkołę realną, a jest takich miast kilkanaście, siedzą obok siebie na ławkach szkolnych dzieci dwóch odrębnych narodowości: polskiej i niemieckiej. Ogół chłopców polskiego pochodzenia celuje nauką w pierwszej, drugiej, a jeszcze i trzeciej klasie nad chłopcami niemieckiego pochodzenia; w średnich klasach ta przewaga już ustaje, a w wyższych t. j. według naszej rachuby VI, VII i VIII, skala postępów coraz się bardziej obniża, ogół Niemców bierze przewagę nad Polakami, którzy albo w bardzo szczupłej liczbie dobiegają do mety, lub zrażeni trudnościami, w połowie drogi ustępują z areny naukowej.

Jak sobie wytłómaczemy ten fenomen? Oto, że polska młodzież obdarzona z natury znakomitemi zdolnościami, tak długo póki w niższych klasach wystarczało samo bystre pojęcie, dobra pamięć i uwaga, tak długo była górą nad swoimi sąsiadami, lecz gdy w wyższych klasach same już zdolności nie wystarczały, i trzeba było jak to mówią, przysiedzieć fałdów, a od niższych klas do tego się nie przywykło, nastąpiła stagnacya, zniechęcenie, wkradło się lenistwo, obojętność i zostało się na szarym końcu. A młodzież niemiecka? Tej od samego początku wszystko szło trudniej, przywykła więc zaraz od I-szej klasy do walki z przeciwnościami, ale tem samem przyzwyczajała się do pilności i mozolnej pracy, przy niej została i jak widzieliśmy nie tylke naszym zrównała, ale ich prześcigła.

A jednakowoż ciągle słyszymy i za drugimi powtarzamy, że Niemcy to kraj myślicieli! Są myślicielami, ale nie tyle z wrodzonych zdolności, ile z wychowania. Uczą ich myśleć, do pracy się wkładać, o własnych siłach chodzić (bez korepetytorów) nie tylko w szkołach średnich, ale i w elementarnych, ba nawet już w ochronach i ogródkach na zabawę dla dzieci przeznaczonych.

Twierdzenie powyższe, że Opatrzność obdzieliła nas niepospolitemi przymiotami ducha, które najmniej w domu umiemy spożytkować, pozwalamy sobie jeszcze jednym poprzeć faktem. Gdziekolwiek i w jakichkolwiek nasi uczniowie znajdują się szkołach zagranicą, wyróżniają się w masie cudzoziemców odznaczeniem się i postępami w naukach, mimo trudności jaką mają pod względem języka do zwalczenia. Bardzo często czytamy w pismach publicznych pochwalne wzmianki o świetnych egzaminach, jakie nasi młodzi rodacy składają, otrzymując złote medale i tym podobne odznaczenia szkolne, tak na polu sztuk pięknych, jako też nauk ścisłych. Dochodzą zaś do tych rezultatów tak pilnością i *własną* pracą, do ktorej im cudzoziemcy dodają bodźca, jak równie ogólnie przyznawanemi im zdolnościami.

Ale wróćmy się nazad do naszego właściwego tematu, od którego na chwilkę pozwoliliśmy sobie odbiedz. Tych z rodziców, którzyby przy naszych dowodzeniach potrząsali głową, mówiąc: Jak to być może, żeby nasi synowie chodząc do szkół, mogli obyć się bez korepetytorów, zapytujemy się: Czemu dla córek swych nie przybierają korepetytorów lub korepetytorek? Jeżeli tamtym *wszelkiemi sposobami* staramy się *pracę ułatwić*, to tem więcej zasługiwałyby na takie uwzględnienie córki, jako niby duchowo i cieleśnie strona słabsza, a przytem przez sam wzgląd na utrzymanie płci w kwitnącym i świeżym stanie, do nauk głębszych i poważniejszych nie wciągane. Wszakże córki chodzą tak samo do szkół rządowych lub prywatnych, uczą się przecież dobrze, robią dobre postępy, kończą wcześnie zamierzoną szkołę i to bez wszelkiego mentorstwa książkowego w domu. Zaliczamy je do płci słabej, nie mającej według powszechnej opinii ani tak głębokiego pojęcia ani takich sił fizycznych jak chłopcy, a więc im raczej należałyby się korepetytorki, a nie tamtym. Jeżeli zaś naszym chłopcom w rzeczy samej nauka przychodzi tak trudno, że nie mogą postępów robić bez korepetytorów, to dla czegóż takie samo prawo nie służy i dziewczynkom! Suum cuique!

Ale może przedmioty wykładane po szkołach męzkich są trudniejsze od przedmiotów po szkołach żeńskich? I to nie, zwłaszcza w niższych klasach, w których właśnie najbardziej kwitnie gospodarstwo korepetytorskie. Przedmioty są tu prawie jedne i te same. W szkołach klasycznych mają niby największą trudność dla młodzieży męzkiej stanowić języki starożytne, wymagające co prawda trochę ścisłości, logiczności w myśleniu i drobiazgowości, a czego nasi uczniowie *bardzo nie lubią*? ale weźmy w to miejsce u panien język francuzki, którego wyuczenie się *książkowo*, czytania, wymawiania, pisowni (oj, zwłaszcza pisowni!)

prawideł gramatycznych, stanowi czy nie dwa razy większe trudności od języka łacińskiego.

To nareszcie może płeć piękna obdarzona jest z natury doskonalszym rozumem od płci przeciwnej. Do tego znowu nie chcielibyśmy się bardzo przyznać, choćby tak było, ale na naszę pociechę w samej rzeczy tak nie jest. Przecież jakaś przyczyna być musi. Oto ta, że dziewczynki od dzieciństwa lepiej wychowywane, przyzwyczajane do zwracania uwagi same na siebie, do ciągłego jakiegoś zajęcia, mają mniej swobody a tem samem mniej sposobności do rozpróżniaczenia się, mają więcej umysł skupiony i zwrócony ku jednemu przedmiotowi; oddane do szkoły, mają to przeświadczenie, że będą musiały tylko na siebie rachować; w klasie przeto siedzą *spokojnie*, słuchają pilnie i z uwagą, starają się pojąć wykładany im przedmiot; czego zaś nie rozumieją, oto się nauczyciela lub nauczycielki pytają, wiedząc, że w domu już im nikt żadnej pomocy nie udzieli. Co najwięcej, jeżeli której ojciec lub matka w danym razie mogą dać krótkie objaśnienie, ale na tem też koniec. Postawmy jeszcze i takie pytanie: w każdej rodzinie, w której jest kilku chłopców i kilka dziewczynek, kto w ogóle lepiej się uczy, kto staraniej swoje ćwiczenia szkolne odrabia, kto lepsze cenzury do domu z klas przynosi, chłopcy czyli też dziewczynki? Niezawodnie wypadnie odpowiedź pomyślna nie po stronie chłopców (o wyjątkach nie mówimy) ale po stronie dziewczynek.

Stąd też bynajmniej nie jest paradoksem owo twierdzenie, że kobiety może mają więcej energii, silnej woli, stanowczości od mężczyzn, że w ogóle jak to mówią, płeć *słaba*, trzyma płeć mocną pod....., lub jak jeszcze inni się wyrażają (przepraszamy za wyrażenie) za nos wodzi. Temu wodzeniu i przywodzeniu nie ma się czego dziwić, zważywszy, że od samej młodości do niej są przyzwyczajani. W pierwszych chwilach chłopięcego wieku wodzą ich korepetytorowie, nie omal za nich myślą, więc tak też nawykają do tego wodzenia, że i później bez oporu mu się poddają, i co najwięcej, kiedy im ta opieka płci nadobnej zbyt uciążliwą być zaczyna, w pieniach żałośnych rozwodzą się głośno nad swą niedolą!

Nie przeczymy, iż mogą być przypadki, iż uczeń niższych klas w tym lub owym przedmiocie kuleje i nie może za drugimi podążyć. W takim razie, jeżeli się starszy kolega z wyższych klas lub student uniwersytetu podejmie korepetycyi (że już tego wyrazu użyjemy), to te korepetycye, czyli ta pomoc naukowa, nie ma się odnosić do lekcyj zadawanych w klasie, bo te uczeń *powinien sam*, o *własnych siłach*, ile i jak potrafi, odrabiać, lecz powinien z niem w zakresie programem objętego pensum odrębnie pracować. Powinien zbadać chłopca w czem leży jego słaba strona, i jeżeli dojdzie do przekonania, że właśnie brak mu elementarnych podstaw, to przedmiot ten od samego początku z nim zacząć i fundamentalnie przerobić, bo gdzie nie ma dobrego początku i jasnego pojęcia o rzeczy, tam na dalszy pomyślną i gruntowną budowę rachować nie można.

Nim zakończymy nasze uwagi, wypada nam jeszcze zwrócić się do naszych nauczycieli, na których może i w części spada, z powodu nie dość pedagogicznego wykładu, zarzut rozpowszechnienia się owego systemu korepetytorskiego. Nomina sunt odiosa, ale moglibyśmy ze dwa lub trzy nazwiska nauczycieli przytoczyć, z którymi nam się zdarzyło, w dawniejszem urzędowem stanowisku spotykać, że dyktowali przedmiot nie tylko po całych godzinach, ale po całych miesiącach, a potem (na co sami uczniowie narzekali) zadając po kilka stron, pamięciowo przesłuchiwali. To się nazywa nie mieć żadnej metody i pojęcia o postępowem, na rozwinięcie władz umysłowych dziecka wpływ wywierającem nauczaniu.

Staraniem każdego nauczyciela powinno być: tak przedmiot traktować, aby go wszyscy uczniowie jasno gruntownie zrozumieli. Wywiąże się zaś ze swego zadania jeżeli przy wykładzie trzyma się nieodstępnie metody *erotematycznej*, której istota w tem jest zawarta, że za pomocą ciągłych pytań, rozjaśnia się we wszystkich szczegółach wykładany przedmiot. Nie jest bowiem jedynym i ostatecznym celem nauczyciela wysłuchać ucznia ze zadanej mu lekcyi, bo stąd żadna dla niego korzyść nie wypływa, ale zadaniem nauczyciela jest za pomocą pytań, które do ucznia zwraca, przedmiot objaśnić, zrozumiałym i pojętym mu uczynić. Nauczyciel stawia uczniowi pytanie, na które uczeń odpowiada. To daje uczniowi sposobność jaśniejszego rozświecenia sobie przedmiotu, a nauczycielowi pojęcie, o ile uczeń rozumie i zna gruntownie nauczany przedmiot.

Młodzi znowu nasi współpracownicy, wychodzący świeżo z uniwersytetu i mający jeszcze żywy obraz przed oczami tamecznego wykładu, chorują zbyt często, ba, prawie powszechnie, póki ich doświadczenie lub szczęśliwy traf z ich słabostki nie wyleczy, na metodę *akroamatyczną*, której właściwość polega na tem, że nauczyciel w dłuższéj lub krótszej, lecz *ciągłej* mowie stara się przedmiot wyłożyć, w ciągu której uczeń cicho siedząc i słuchając, usiłuje wykładający mu się przedmiot pamięcią lub piórem pochwycić, pojąć i sobie przyswoić. Jest to metoda przyjęta do wykładu dla studentów po uniwersytetach i tym podobnych zakładach naukowych, dla dojrzałej już młodzieży, umiejącej sama i to źródłowo pracować, ale nigdy po szkołach średnich, choćby nawet klas wyższych. Nie można się przeto dziwić, że przy zastosowaniu metody akroamatycznéj, uczeń się znudzi, bez przytomności i uwagi na lekcyi siedzi, lub myślą buja gdzieś zdaleka po za klasą, a w końcu nawet nie wie o czem była mowa na lekcyi.

Od zastosowania metody pochodzą owe uznania, nauczycieli praktycznych, doskonałych, dobrą metodę mających. Każdy nauczyciel zawsze tyle umie, że uczniowie mogliby wiele, bardzo wiele od niego korzystać, gdyby się tylko posługiwał właściwą i do celu prowadzącą metodą. Są nauczyciele którzy się nie odznaczają głęboką erudycyą a jednakowoż mają opinię dobrych i praktycznych nauczycieli. Tylko metodą i jej zastosowaniem przychodzą do tego zaszczytnego uznania. Dobrego i praktycznego nauczyciela cechą jest jeszcze i to, że na jego lekcyi uczeń więcej mówi od niego samego. Bo uczeń mówiąc tłómaczy się, i tem dowodzi, że ma jakiekolwiek zrozumienie i pojęcie o rzeczy; nadto służy to do lepszego zrozumienia i rozjaśnienia sobie przedmiotu ze strony jego kolegów, bo on tłómaczy się językiem i myślami więcéj zbliżonemi do ich pojęcia. Powodowanie uczniów do myślenia i tłómaczenia się ze swych myśli, jest najgłówniejszą zasadą w nauczaniu gimnazyalnem.

Zacznijmy wspólnemi siłami i wspólnem dążeniem do jednego celu, i wy rodzice i my nauczyciele, młodzież naszą przyzwyczajać i przyuczać chodzić o własnych siłach a jak najmniej przy obcej pomocy. Czas by już nam było i starym i młodym przekonać się o tem, że bezpowrotnie minęły te czasy, gdzie nam wszystko łatwo i igrająco przychodziło; czas przyjść do tego przekonania, że społeczność ludzka tak się urabia i urządza, iż tylko trud niezłomny, mozolny i praca umiejętna i niezmordowana wydają rezultaty wielkie i pełne przyszłości.

Antoni Celichowski.

NIEWOLNIK.

SZKIC POWIEŚCIOWY.

(Dalszy ciąg).

Pedagog zaznaczył sobie tylko odpowiedź słodkiem słówkiem „przepraszam“ i zwrócił się do Karolka tonem powagi.

— Czemu siedzisz? Czy nie wiesz że polecono ci chodzić?

Bonek poparł zdanie nauczyciela i chłopiec niechętnie postąpił parę kroków.

Korzycki właśnie zabierał się do szerokiej rozprawy, gdy przed drzwiami ogrodowemi ukazała się p. Eglantyna z Izą.

Eglantyna lekko podbiegła do krzaka róży i z nieporównanym wdziękiem, wpół rozwinięty pączek umieściła w swych bujnych warkoczach. Bonek z ukłonem i uśmiechem podążył ku niej i Korzycki też uchyliwszy *furażerkę* skierował w tę stronę swe kroki, trzymając się przecie przyzwoitej odległości.

— Polna róża [1]) w róże się stroi, i to jeszcze w moje uprzywiejowane!

— To pańskie róże? Ach powinnam była poznać, wszystkie przekwitłe, tak jak i dowcip pański. Weź sobie pan, weź! zawołała chichocząc i oberwawszy kilka rozsypujących się kwiatów, rzuciła garść różanych listków na twarz i kapelusz Bonka.

— Podwójny pocisk — złośliwości i kwiatów. Niewiem czy wpierw gniewać się, czy dziękować! „I pełną dłonią kwiatów zasypuje oczy,“ jak powiedział ktoś z poetów, kochanków wiosny i róży...

— Która ma ciernie?

— I białe ząbki wśród czerwonych listków!

— Ach, ach, jak pan pociesznie wygląda z temi płatkami na brodzie, na wąsach!

Gdy się ta scena wiosenna odbywa, inna

---

[1]) Eglantine.

zaszła opodal i spowodowała jej przerwanie.

Iza powolnie, jakby przez sen zatoczywszy krążek wśród kłąbów, zbliżyła się do brata zajętego wyciskaniem laseczką dołków w ziemi.

— Co ty robisz. Czemu mi kłąbik psujesz?

— Daj mi pokój.

— Powiem przed p. Eglantyną.

— Masz! powiedz jeszcze więcej, zawołał Karol opryskliwie i jednym zamachem ściął kilka łodyżek kwiatowych.

— *Madame, il gatte mes fleures! Madame!*

— Karol!

— Iza!

Zabrzmiał jednocześnie urzędowy ton z piersi Korzyckiego i Eglantyny. Zaczęła się indagacya i sprawiedliwości stało się zadość. Iza otrzymała ostre napomnienie, aby niewdawała się z nieznośnym chłopcem, nauczyciel zabrał z sobą Karola w głąb ogrodu.

— Nie pojedziesz dziś konno, rzekł puściwszy go przed sobą.

— Kontent jestem z tego, tylko niewiem czy tato pozwoli na takie kary.

— Co? groźnie zawołał nauczyciel.

— A tak, bo tato kazał mi żebym co dzień z panem jeździł konno.

— Ośmielasz się przestrogi mi dawać? Jednej potrawy za to nie dostaniesz!

— Nic nie szkodzi.

— Dwóch nie dostaniesz!

— Wszystko mi jedno.

— I będziesz klęczał podczas obiadu!

Chłopiec zatrzymał się, poczerwieniał i rzekł z wybuchem:— Ja powiem przy wszystkich że pan śpi podczas lekcyi.

— Grozisz mi? zawołał Korzycki w passyi.

— A czy ty nie pamiętasz że mam prawo dać ci tyle rózg ile zechcę, że ojciec mi zdał zupełnie prawa nad tobą? Czy ty już zapomniałeś? Dziś ja ci odświeżę! Dziś kłamco, łotrze! Dziś zaraz, i nie pójdziesz na obiad.

Chłopiec wybuchnął płaczem bezsilnego gniewu i rzucił się na ławkę w rozpaczy.

Twarz nauczyciela rozpogodziła się tryumfalnie.

— Aha! przełamałem cię ptaszku! Teraz już nie drwisz sobie? Chodź za mną, zawołał rozkazująco.

Chłopiec nagle jak gdyby myśl jakąś powziął wstał i spokojnie postąpił za szlachetnym mentorem, ten zaś zaślepiony tryumfem, niewidział szyderczego uśmiechu na twarzy Karola.

Zbliżali się właśnie do miejsca skąd słychać było pieszczotliwy śmiech Eglantyny, gdy Karol z szybkością spłoszonego zająca rzucił się w krzaki i przypadł do stryja czepiwszy się jego ramienia.

— Karolek! z humorem zawołał Bonek, cóż cię tak rozczula? Czy czasem nie los stryja pobitego na wszystkich punktach?

Chłopiec szybko zaczął coś szeptać i naturczywie prosić.

— Czyż może być? To trochę za wiele za taką bagatelę.

— Za krnąbność panie dobrodzieju, bąknął zawstydzony nieco Korzycki. Chłopiec przechodzi już wszelkie granice...

— O! widzisz rybko nie trzeba być krnąbrnym, bierz przykład ze stryja który pokorny jest jako baranek. No, już ja przebłagam p. Korzyckiego, tylko przeproś i przyrzesz poprawę. Już nie będziesz — prawda?

— Nie będę...

— Już ja ręczę za niego że nie będzie, niech mu pan przebaczy, choćby przez wzgląd na karanie, które tu stryj jego cierpi bez winy.

— Jeżeli Karol tyle winien co p. Bonek, to proszę mu zadać drugie tyle kary, wołała Eglantyna. Rzeczywiście Karol powinien być surowo ukarany...

— *Et tu Brute contra me!* z emfazą wołał Bonek.

— O broń Boże! Cóż mam robić, naturalnie że muszę darować, kiedy pan dobrodziej wstawia się za nim, ale rzeczywiście...

— No widzisz! Masz przebaczenie. Przeproś że p. profesora. Tak, teraz p. Tynę pocałuj w rączkę!

— Za co ma dziękować?

— Tak sobie, z radości i w imieniu stryja.

Eglantyna pogroziła stryjowi na nosku, a do synowca rzekła cierpka:

— Nie masz mi za co dziękować. Ja wiem że na dwa razy większą karę zasłużyłeś. Prawda p. Korzycki?

— Istotnie...

— A panu stryjowi wartoby kazać klęczyć za to że psuje i tak już niegodziwego chłopca, dodała tonem podejrzanej powagi.

— Choćby zaraz i choćby do obiadu, podchwycił stryj z gotowością przystąpienia do pokuty u stóp nauczycielki.

— Tylko do obiadu, a ja myślałam że do końca świata, zawołała tonem dziecinnej wymówki.

— Przepraszam, to za długo.

Korzycki nie lubiał dotrzymywać placu nauczycielce i wice gospodarzowi, bo nigdy dokładnie nie mógł zrozumieć, czy wypada mu uśmiechać się, czy być poważnym. Zresztą towarzystwo naturalizowanej francuski wprawiało go w stan, stróża Marcina, któremu by kazało rurkować delikatne falbanki; oddalił się więc gdy tylko spuszczono go z uwagi, a oddalił się w najgorszym humorze.

Ex-rewizora tabacznego zaczęły trapić gorzkie myśli. Klął w duszy zależność swoję, dojmowała mu srodze wesołość Karolka, urągająca się jego powadze i smutnym refleksyom, a niedająca się poskromić nawet napomnieniami pełnemi opryskliwości i żółci. Wyprobowany czasomierz Korzyckiego dawno już pokazał porę obiadową, tyle upragnioną w życiu domowego nauczyciela, a przecie nie wzywano do stołu. P. Korzycki owinął się stoicyzmem i błogiemi wspomnieniami dawnej świetności się otoczył. I dobrze zrobił bo niebawem zesłał mu pociechę upragniony głos: „Obiad na stole!"

Poobiednia godzina w dworze wiejskim ma w sobie coś uroczystego. Nawet nauczyciel domowy miewa tu chwile niezakłóconej błogości. Korzycki mógł usiąć swobodnie w swym fotelu i wraz z błękinym dymkiem snuć różowe pasmo marzeń, pod miękiemi skrzydłami drzemki.

Karolek sprawiał się cicho, na palcach się poruszał, ukrył coś nieznacznie pod kamizelką i zajął się łapaniem much po szybach, a od czasu do czasu bystremi rzutami oka mierzył stopień senności nauczyciela. Podejrzywam go że miał zamiar wymknąć się z pokoju.

Niespodziane jednak wejście pani Skarzyckiej pomieszało nagle szyki, Mentora i Telemaka. Weszła i położywszy białą dłoń na głowie chłopca, przypomniała mu że dziś powinien się przygotować do jutrzejszej uroczystej spowiedzi.

Korzycki zerwał się, przetarł oczy, zaczął obciągać na sobie ubranie i całą postawą okazywać zainteresowanie swoim pupilem.

— Przepraszam pana iż rozporządzam czasem jego ucznia, rzekła p. Skarzycka. Pan zapewne nic nie będzie miał przeciw temu że zamiast nauk południowych Karol przygotowywać się będzie do spowiedzi przy ks. Inocentym...

— O! i owszem!

— Chodź Karolu. Iza już czeka na ciebie.

Po wyjściu bogobojnej pani ex-rewizor tabaczny w dziwny sposób przeciągnął kilka razy oblicze i zrobił parę komicznych poruszeń, mających świadczyć o jego zadowoleniu. Zamruczał radośnie i napełniwszy kapciuszek wyborowym knastrem, wziąwszy talię kart do kieszeni, pospiesznie wyszedł przepędzić swobodną chwilkę u rządcy.

Długo panowała zupełna cisza w uczelni. Przez otwarte okno zaglądały zielone gałązki bzu, wróble dziubały na futrynie i świergocąc przechylały główki, przyglądały się rozwieszonej naprzeciw karcie geograficznej. Zegar ścienny pełnił swą powinność i dwie godziny z rzędu wydzwonił nim powrócił Karolek z dużą księgą w ręku.

Chłopiec wszedł przygnębiony, nieoglądając się, z przygasłemi tępo wpatrzonemi przed siebie oczami. Automatycznie otworzył książkę w założonem miejscu i ukląkł przy stole. Wpatrzył się w wiersze druku. Znać było w jego oczach forsowne wytężenie uwagi, po chwili bezwładna nieruchomość owładać nim zaczęła; chłopiec silił się znów na skupienie ducha, znów przemagało odurzenie.

Podczas takich chwil myśli i obrazy wikłają się; kłębią, igrają nieujętemi smugami światełek podobnemi do tych, które przymkniętemu oku przedstawiają się w ciemności...

Karol byłby zasnął zapewnie, lecz gdy oparł się o krzesło usłyszał chrzest jakiegoś przedmiotu ukrytego w zanadrzu. Ten lekki szelest orzeźwił go odrazu. Zerwał się raźno na nogi i z rozpromienioną jakby inną twarzą dobył z za kurtki niewielki tomik w ósemce, elegancko oprawny. Na grzbiecie książki było wybite: „Marcin podrzutek." Chłopiec obejrzał się dokoła, wychylił się za okno, przysłuchał podedrzwiami i z żywością wziął się do czytania, umieściwszy się tak aby w razie niespodziewanego nadejścia kogokolwiek z łatwością udać modlitewną postawę.

Karol czytywał już oddawna ukradkiem książki wykradane na ten cel z bibioteczki stryja, ale żadna tyle go niezajęła co obecny „Marcin podrzutek." Karol wcielił się w świat powieści, a z bohaterem jej tak się zjednoczył, iż cierpienia jego i radości brał za swe własne. Ten biedny chłopiec stający do walki z całym światem przygód, ofiara niesprawiedliwości w obec uprawnionych gwałtów i zbro-

dni, stał się dla niego sobowtórem podniesionym do ideału, ukochaną postacią jaśniejącą wśród steku poczwar, które przecie stroiły się nieraz w szatę prawd obowiązujących... Prawdy te głoszone takiemi usty budziły w nim wstręt i pogardę.

Czarujące obrazy upajały wrażliwy umysł chłopca słodkim narkotykiem. Zapominał o całym świecie, nie czuł pod sobą żadnej więcej podstawy nad skrzydła wyobraźni, co go nosiły po nieznanych stronach. A jednak do umysłu jego szło tylko to czego pragnął, czego zarody już tam spoczywały. Zbiegał się tu tłum myśli, powstawał chaos, lecz zostawało tylko wrażenie silniejsze, czy lepiej przystające do duszy.

Karol nie był chłopcem myślącym logicznie, układającym swe pojęcia przy dziennem świetle w ład praktyczny. Wodosobnieniu, bez spojni uczucia i rozumu z otaczającym światem, niewyrabiają się ludzie prawidłowo myślący. Karol każde wrażenie sądził inaczej niż mu sądzić kazano, przywykł pod naciskiem zewnętrznych opinij, czynów i wymagań kryć w sobie zupełnie inne uczucia i myśli. Sprawiedliwość przedstawiała mu się w formie krzywdy bolącej, bezprawie w prawach, śmieszność i głupotę w mądrościach które mu kazano szanować.

Szczerość, jasna pogoda myśli nie miała przystępu do duszy ku której nikt się nie zniżył, nikt serdecznie nie przygarnął. Myśli posępne, buntownicze tlały tu pod pokrywą. Wrodzona żywość była stłumiona przemocą, a serdeczność nie mająca ujścia spaczona wadami wychowania, przerodziła się w gorzkie marzycielstwo.

Karol czytał, a mimo niewolniczą postawę udanej modlitwy, zuchwale bujał myślą w świecie który stwarzał z materyału danego przez autora. Tymczasem zaczytany nieznacznie posuwał grubą księgę leżącą na stole niewiedząc o tem wcale. Nagle wśród zupełnej ciszy księga zsunęła się ze stołu i runęła z łoskotem.

Przestrach podrzucił Karola na równe nogi.

Księga święta leżała u stóp jego rozrzucona, w ręku jego była książka zakazana, może bezbożna!.. Wiatr silniej zaszumiał liśćmi przez okno, jak zwykle wydaje się w uszach człowieka co powraca do świadomości zewnętrznych zjawisk. Odruchowy przestrach ustąpił miejsce utajonej w duszy pamięci świeżych jeszcze ekspiacyj. Usunięta niedawno z umysłu mgła egzaltowanych rozmyślań nad pochłaniającem człowieka „nieznanem“ powróciła na kształt groźnego widma, bezmiar zrośniętych z jego duszą wierzeń zagrzmiał potężnie nad głową chłopca. Uczuł się godnym piorunu i tłumiąc krzyk przestrachu wyrywający się z piersi, z zimnym dreszczem i łzami przestrachu w oczach, rzucił się ku drzwiom i uciekł, jakby pozostawiając za sobą spełnioną zbrodnię.

Wpadłna korytarz a stąd we drzwi stryja, jedynego swego sprzymierzeńca. Tu ocucił się dopiero z zabobonnego przestrachu, zawstydził się przed samym sobą, a uczucie bezpieczeństwa jakby po obudzeniu się ze snu przykrego, pobudziło go do wesołości.

Apartament stryja był wzorem wykwintu i porządku, mieszkaniem człowieka wytwornych a systematycznych przywyknień, któremu każdy sprzęt niby wierny niewolnik podsuwa zaspokojenie wszelkich potrzeb, ułatwia każde poruszenie ciała.

Gust i elegancya należała do niezbędnych warunków życia Bonka, pewien przepych budoarowy otaczał go w mieszkaniu.

Właśnie spoczywał w wygodnym fotelu, do którego przytwierdzony ruchomy pulpit ułatwiał mu czytanie francuzkiej gazety.

Karolek stąpając lekko po kobiercu zaszedł mu z tyłu i zasłonił oczy.

— A! to ty łotrze! Chodź no tu! dobrze żeś przyszedł. Lekcye skończyły się i nie klęczałeś rycerzu?

— Dziś nie ma lekcyj, dziś rekolekcye. Powiadam stryjowi, tak się wymodliłem że aż mi się jeść chce. Niech no stryj poszuka co dobrego.

— Patrzcie go! A to truteń jakiś, objadać mię myśli!.

A położysz ty to? — zawołał widząc że chłopiec wspina się na półkę. Nim nadbiegł przeszkodzić grabieży, Karol już zapchał sobie usta ciastkiem, dusząc się od śmiechu.

Czekajże, ja cię tu wyspowiadam teraz, powtarzał Bonek łechcząc go pod boki.

— Dobrze, wołał chłopiec przełknąwszy zdobycz. Zobaczymy kto kogo będzie spowiadał, to mówiąc zarzucił stryjowi ręcznik na szyję, jak stułę i uwiesił się na nim; dopiero pochwycony i rzucony na miękką kanapę, po daremnej obronie musiał się zdać na łaskę i niełaskę.

Jak widzimy Karolek miał łaski u stryja. Tak, miał łaski. Czemuż sceptyczna myśl i w tej sympatyi, zmusza mię odkrywać ciemną stronę! Karolek był potrzebny Bonkowi a siostrzeniec dalekim był od szacunku dla stryja.

Ich rozmowa dalsza odkryłaby tę prawdę. Karol służył stryjowi za tajną policyę życia w sękowickim dworze, służył z całą świadomością swej roli, a nawet o cenniejsze wiadomości targował się otwarcie.

Dziś właśnie w dowód wdzięczności za okazaną przed południem łaskawość, zwierzył się z przetrzymywaną od paru dni wieścią. Szeptał długo i tajemniczo o jakiejś scenie widzianej wieczorem w ogrodzie. Imię Eglantyny wspomniane było kilka razy. Podsłuchana rozmowa jakaś znajdowała w chłopcu wiernego stenografa. Po tem nastąpiły instrukcye ze strony stryja w rozmaitych ważnych kwestyach.

Naraz Karol zerwał się i nie umiejąc się wytłómaczyć z przyczyny przestrachu wybiegł na korytarz.

Za późno już było. Gdy wpadł do szkolnego pokoju, Korzycki stał na środku z „Marcinem podrzutkiem“ w ręku, nad leżącą na ziemi książką pobożną.

III.

Na każdego przychodzi przynajmniej raz w życiu dzień czynu, dzień tryumfu. Dzień taki i na Korzyckiego przyszedł gdy przedstawił nareszcie rodzicom Karola, jak obiecującego mają syna. Odkrycie to, jak grom spadło na matkę cieszącą się dotąd przynajmniej bogobojnością dzieci, próżno ją ks. kapelan pocieszał, obiecując użyć wszelkich środków dla nawrócenia zaczynającej się już błąkać owieczki. Pani Skarzycka nie dawała pociechom przystępu do swego serca.

— O wiem ja skąd płynie zgorszenie, mówiła ze łzami. Póki ten człowiek (pani Skarzycka nie wymawiała nigdy imienia Bonka), otaczać będzie Karola swym wpływem, prace nasze w niwecz się będą obracać.

P. Skarzycki wrócił nad wieczorem w złym humorze, tragiczna scena jaką mu żona wyprawiła, przebrała miarę jego cierpliwości. Usłyszał o zaniedbywaniu obowiązków ojcowskich, o gorszącym przykładzie, usłyszał uroczyste wezwanie do pozbycia się z domu Bonawentury, usłyszał by jeszcze wiele innych rozrzewniających rzeczy, ale postanowił odrazu koniec położyć wszystkiemu. Własnoręcznie wyliczył dziesięć plag synowi.

— Proszę mi teraz nie mówić, że niedbam o wychowanie dzieci! rzekł zagrożonej spazmami małżonce.

Ojciec uważał już sprawę za skończoną, fakta późniejsze zaprzeczyły jednak temu. Gdyby już przynajmniej ograniczono się na parogodzinnem dziennie moralizowaniu Karola i zdwojeniu czujności nad jego każdym krokiem, lecz skutki odkrycia przewrotności w nim sięgały dalej. Potrzeba było koniecznie usunąć Bonka siewcę zgorszenia, i stąd zawrzała walka domowa której kozłem ofiarnym był Karol.

Bonek odpornie zachowywał się przez długi czas, daleki zarówno od rozciągania opieki nad branym na moralne tortury chłopcem, jak i od poczuwania się do winy, gdy mu jednak zaczął dokuczać niepokój, podsunął bratu myśl oddania chłopca do szkół.

Myśl okazała się trafną. Rzeczywiście Karol zbytecznym kłopotem okazywał się już w domu z rozmaitych względów. Pominąwszy już coraz częstsze skargi i sceny naruszające spokój ojcowskiego umysłu, podobne do tej którąśmy przytoczyli, skierowane ku wykazaniu zgubnego oddziaływania Bonawentury na chłopca, Karol z innych względów niepotrzebnym okazywał się w domu. „Za nadto mądry on już i spostrzega więcej niż powinien.“ To przekonanie powzięte na zasadzie jakichś tajemniczych danych, ostatecznie wpłynęło na usunięcie Karola z domu i wysłanie go do szkół, choć pomysł taki sprzeczny był z pojęciami matki i silną nawet znalazł w niej opozycyę. Przyszło do paru scen bardzo przykrych między małżeństwem z których pani Skarzycka wyszła jak zwykle z rezygnacyą ofiary, ulegającej pod przemocą. W parę dni po zrodzeniu się projektu przystąpiono do spełnienia go i Karol niewiedzący jeszcze czy cieszyć się czy smucić z nagłej zmiany, wywieziony został do oddalonego o kilka mil gubernialnego miasta.

Wyjazd nie miał w sobie nic rozrzewniającego. Po mszy matka pożegnała go uroczyście, pożegnała jak na śmierć nieomylną. Ukazując na otwierającą się u stóp jego czarną odchłań zepsucia, nie miała już niejako siły spodziewać się iż syn jej wyjdzie z niej zwycięzko. Całą ufność pokładała tylko

w swych modlitwach. Mówiła długo i z namaszczeniem. Karol słuchał jej słów ze ściśniętą piersią, z suchemi oczyma utkwionemi w ziemię. Nad jego pierwszym krokiem w świat śpiewano mu egzekwie, czuł jakąś bolesną oschłość w sercu. O ileż droższym byłby mu prosty uścisk serdeczny, tymczasem płynęły nad nim piękne peryody często słyszanych kazań, skierowane ubocznie ku ojcu obecnemu tej scenie i niecierpliwiącemu się jej długością. Pożegnanie z siostrą i domownikami było sztywne i konwencyonalne, stryj półżartem pożegnał faworyta. Zatrzaśnięto za Karolem drzwiczki powozu. Wtulony w kącik siadł obok ojca, mając naprzeciw siebie Korzyckiego. Ranek jesienny płakał tylko drobnym deszczem gdy ruszano topolową aleją. Chłopiec porzucając gniazdo rodzinne, czuł jakąś straszną próżnię w sercu, i próżnię po za sobą.

Usunięty z domu, i potępiony przez wszystkich, nie miał gdzie uciec się z sercem rozżalonem. Jechał jak wygnaniec nie mający nic drogiego w ojczyznie w nieznane strony, które w najsmutniejszych barwach mu przedstawiono. Czuł się najnieszczęśliwszym z ludzi, bo w sobie nawet nie znajdował pociechy uniewinnienia. Bolesny zamęt ogarnął jego myśli i uczucia, trwoga ogarniała go i troska bez wyjścia.

Gdy przejeżdżali wioskę, widział jak włościanka okręcała w płachtę małego pastuszka, wyprawiając go z bydłem w pole. Pozazdrościł całem sercem biednemu chłopięciu, sam nie wiedząc czego. Łzy zakręciły mu się w oczach, ale wnet znikły kiedy Korzycki z ubolewającym uśmiechem rzekł do jego ojca:

— Smutna to rzecz, że Karol tak mało ma serca. Toż on panie dobrodzieju nawet nie zapłakał przy rozstaniu z domem. Mój Boże! mnie jak wywozili do szkół, tom całą drogę beczał bez upamiętania. Co z tego chłopca będzie?

d. c. n.

ROZMAITOŚCI.

Naukowe.

— „Journal de Belfort“ donosi o nadzwyczaj ważnem i ciekawem odkryciu *pieczar przedpotopowych*, o kilka wiorst zaledwie od Belfortu oddalonych. Robotnicy wysadzając kamienie za pomocą min w początku marca, ujrzeli w skale otwór, przez który spuściwszy się, znaleźli dużo szkieletów ludzkich jako też naczyń, noży kamiennych i t. p. P. Voulot archeolog poczyniwszy spostrzeżenia, oznajmił, że szczątki te liczą najmniej 6,000 lat. Z tego powodu ma zjechać do Belfortu komisya archeologów z Paryża. „Ciała ludzkie, powiada p. Voulot, na wpół leżały z głową podniesioną, a niektóre zachowały przewrotną pozycyę skutkiem osiedlenia się na około warstw zsiadłego kamienia... Są one po większej części niewielkiego wzrostu i smukłe; czaszki średniego wymiaru i niezbyt grube. Kąt twarzy otwarty, między 78° a 85°. Twarz owalu przedłużonego, zęby zniszczone. W ogóle, głowy są regularne dobrze sformowane i zdaję się świadczyć o pięknych zdolnościach umysłowych i o poczuciach szlachetnych.“ „Ze szczątków zwierzęcych znaleziono tylko, niewiele kości jelenia błotnego i *sus*;— oprócz zaś urn, znaleziono matę z sitowia, w desenie z rozwartokątu, plecioną z niezwykłą elegancyą i smakiem.“

— Cesarski warszawski uniwersytet przyznał stopień lekarza Nawroczyńskiemu Adamowi.

— Kandydat medycyny uniwersytetu wrocławskiego H. Święcicki z Poznania, otrzymał od tamecznego fakultetu lekarskiego dwie nagrody za rozprawy „O uwagach Hippokratesa, Galena i Soranusa nad chorobami dzieci“ i „O błonie śluzowej żołądka płazów w czasie głodu i trawienia.“

Literackie.

— Nakładem p. Ungra wydawcy Tygodnika illustrowanego wyszedł z pod prasy 1 zeszyt dzieła W. Tissota p. t. „Prusacy w Niemczech.“ Całe dzieło obejmie zeszytów siedm, które wychodzić będą w tygodniowych odstępach czasu.

— Dr. Tymoteusz Stępniewski odczyt swój publiczny wypowiedziany w Płocku 10 b. m. wydał w oddzielnej broszurze p. n. „Kobieta, jej udział w rzeczach miłosierdzia, lecznictwa i niezależnej pracy.“

— Dr. Maurycy Straszewski wydał w Krakowie pracę swoję p. t. „Jan Śniadecki, jego stanowisko w dziejach oświaty i filozofii w Polsce.“

— P. Klemens Chr. Broniewski z Warszawy przygotował do druku oryginalną trzytomową powieść p. t. „Kostrzewa“ osnutą na dziejach drugiej połowy zeszłego i pierwszej połowy bieżącego stulecia.

— S. Lewental wydawca Kłosów nabył od sukcesorów ś. p. Józefa Kremera wszystkie jego dzieła już drukowane, jakoteż w rękopismach pozostawione, i ogłosi zbiór ich zupełny, który obejmować będzie nietylko słynne listy z Krakowa, podróż do Włoch oraz wykład filozofii, ale między innemi nie znany a bardzo ważny i pożądany wykład logiki.

— Wyszły na widok publiczny: „Na cmentarzu“ poezya Bog. Aspisa; „Figielki Stańczyka“ obrazek z XVI wieku; „Dwie boleści“ dramat wierszem Copée'go tłómaczony przez Feliksa Szobera. Tom czwarty dzieł Klementyny z Tańskich Hofmanowej. Wybory do sądów gminnych, przez Mierosławskiego Zygmunta.

— P. Alfred Młocki stanął na czele komitetu we Lwowie zawiązanego w celu wydania dzieł i rękopismów, pozostałych po Sewerynie Goszczyńskim.

— „Pan Tadeusz,“ Mickiewicza ma wyjść wkrótce w tłómaczeniu na język czeski.

— Albumu widoków obrazów i pamiątek Wilanowa wyszły z druku zeszyty 1, 2, 3, 4, i 5.

Społeczne.

— Na ostatniem posiedzeniu sejmu lwowskiego zapadła nadzwyczaj ważna uchwała, domagająca się u rządu zaprowadzenia w uniwersytecie lwowskim i krakowskim stałych katedr do nauki pedagogiki i dydaktyki, do której obowiązani byliby kandydaci na nauczycieli średnich zakładów naukowych.

— Ustawa dla domu schronienia paralityków zatwierdzona w Petersburgu, nadesłaną już została do Warszawy.

— Na wystawę powszechną w Filadelfii, już w dniu 10 przyszłego miesiąca otworzyć się mającą, 70 przemysłowców naszych wysłało swoje okazy.

— W całej Europie liczy się do 5-u milionów żydów, z których połowa przypada na Królestwo i Cesarstwo.

— Według gazet rosyjskich, komitet do spraw Królestwa Polskiego, rozpatrywał w tych czasach projekt wprowadzenia u nas urządzenia ogólnych zapasów zbożowych, rzeczy dotąd nie znanej u nas a istniejącej w Cesarstwie oddawna.

— Projekt do ustawy szkół rzemieślniczych założyć się mających z legatu ś. p. Konarskiego, zupełnie już przejrzany przez komitet przemysłowy warszawski, ma być niebawem przedstawiony pod zatwierdzenie właściwej władzy.

— W Baden przytrzymano przed kilku tygodniami 24-ro letniego młodzieńca, od którego nie można się nic dowiedzieć o jego pochodzeniu, tylko wyraz „Janikowski“ wymawia on dosyć wyraźnie. Na życzenie rządu badeńskiego, pruski minister spraw wewnętrznych wydał polecenie władzom prowincyonalnym, aby we wszystkich okręgach dowiadywano się o pochodzeniu tego człowieka.

— Dowiadujemy się, że kończący kurs nauk szkoły wyższej rzemieślniczej uczniowie w Łodzi, będą mieli prawo wstępowania do instytutu gospodarstwa i leśnictwa w Nowej-Aleksandryi od początku roku szkolnego 1876/7.

— We wsi Dubrzec Wielki pod Kaliszem organizuje się straż ogniowa wiejska przez p. Ostrzyckiego.

Odczyty.

— W Krakowie przy niepamiętnym napływie publiczności Adam hr. Sierakowski miał odczyt publiczny o Europejczykach w Indyach wschodnich, a p. Wł. Okoński odczytał tamże, w obec bardzo licznej publiczności swój dramat p. t. „Ojciec Makary.“ Dochód z odczytu przeznaczył p. O. na korzyść młodzieży uniwersyteckiej.

— Odczyt p. An. Ślósarskiego „O najniższych organizmach“ odbył się d. 6 kwietnia u nas na dochód osad rolnych.

— Dr. Talko z Lublina miał odczyt w Zamościu: „O przyczynach chorób ocznych w wojsku i o środkach zapobieżenia szerzeniu się takowych.“

OD REDAKCYI.

Upraszamy PP. Prenumeratorów o zgłaszanie się wprost do biura Redakcyi przy ulicy Nowy-Świat Nr. 72, z zamówieniami prenumeraty na niniejsze pismo, począwszy od kwartału bieżącego, jak niemniej z nadsyłaniem należności za tęż prenumeratę.

Дозволено Цензурою. Варшава 17 (29) Апреля 1876 г. W drukarni J. Korzeniewskiego. — Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769*a* (12 nowy).

Wydawca J. Korzeniewski. Redaktor Henryk Perzyński.